

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 16 listopada 1907. **Nr. 46.**

Obrabowanie wózka pocztowego. (Treść na str. 2).



Obrabowanie wózka pocztowego.

(Do illustracyi tytułowej.)

Bandytyzm, ta niesłychanie ciężka klęska, trapiąca od pewnego czasu Królestwo Polskie, staje



Zmiany ministrów: Nowy minister rolnictwa dr. Ebenhoch.

się i w Galicyi coraz częstszem zjawiskiem, w objawach swych równie brutalnem i równie niezdrowem. Ilość tych wypadków nie tylko nie maleje w miarę postępu czasu, ale owszem wzrasta z dniem niemal każdym.

Na wzór głośnych w Królestwie i Rosyi napadów na transporty pieniężne, czy to w pociągach, czy wozach, czy też przez pieszych posłańców przenoszonych, wydarzył się w zeszłym tygodniu wypadek obrabowania wózka pocztowego, przewożącego pocztę z Nowego Sioła do Podwołoczysk.

Gościńcem, prowadzącym do Podwołoczysk, zdążał we czwartek wieczór około godziny 8 wózek



Zmiany ministrów: Ustępujący minister dla Galicyi, hr. Wojciech Dzieduszycki.



Zmiany ministrów: Ustępujący minister rolnictwa hr. Auersperg.

pocztowy, w którym znajdował się list pieniężny, wysłany przez urząd podatkowy w Nowem Siole do Tarnopola, a zawierający 26.000 koron, jakoteż inne listy pieniężne, oraz kilkanaście pakietów, wartości 4.000 koron. Kiedy wózek był już pod samemi Podwołoczyskami, w odległości zaledwie kilometra, przypadło doń kilku rzezimieszków, zatrzymali konia, a rzuciwszy się na pocztyliona, zadali mu kilkanaście ran nożem, tak



Zmiany ministrów: Dawid Abrahamowicz, b. prezes Koła polskiego w Wiedniu, obecnie minister dla Galicyi.

iż pocztylion stracił przytomność i spadł z wózka, a wówczas bandyci zabrali wszystkie przesyłki i zaciąwszy konia, szybko zbiegli z wózkiem w kierunku Terpiłówki.

Pocztylion oprzytomniał po dobrej chwili, dowlókł się pieszo do Podwołoczysk i udał się naprzód do apteki, gdzie mu opatrzono rany. Na wiadomość o wypadku żandarmerya rozpoczęła pościg za zbiegłymi bandytami, na razie jednak bez skutku.

Przypuszczają, że sprawcy napadu pochodzą z zaboru i umknęli pewnie do Rosyi.

Illustracya nasza na stronie tytułowej przedstawia chwilę, kiedy rabusie rzucają się na pocztyliona, ściągają go przemocą z wózka, oraz rabują zawartość przesyłek.

Zmiany ministrów.

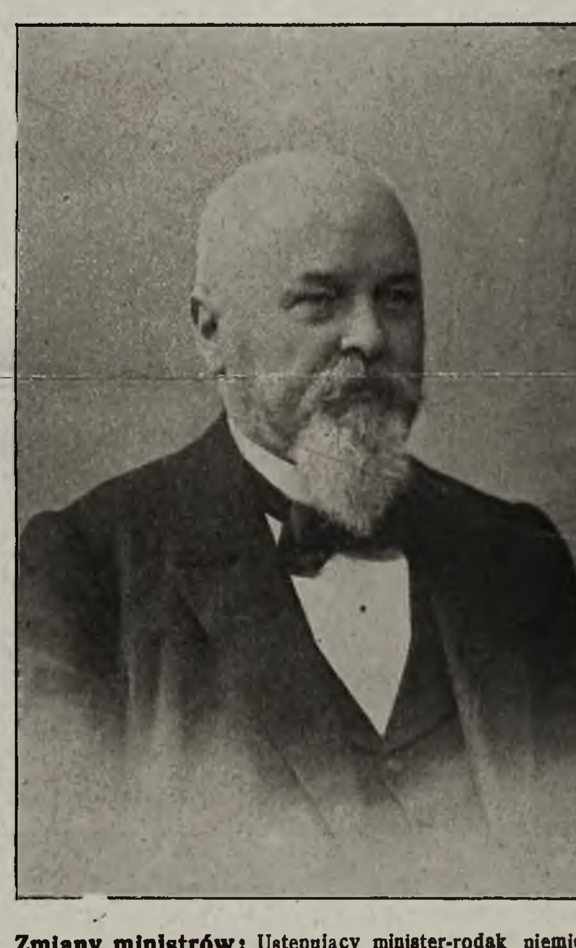
Zanim zostało załatwione przesilenie częściowe w gabinecie bar. Becka, wywołane przedstawieniem dymisyi przez ministrów Forzta i Pacaka, nastą-



Zmiany ministrów: Dr. Albert Gessmann, nowy minister i przyszły szef nowo utworzyć się mającego ministeryum robót publicznych.

piło przesilenie i w innych ministerstwach, wskutek czego także minister rolnictwa hr. Auersperg, i minister bez teki Prade, a ostatnio i minister dla Galicyi Wojciech hr. Dzieduszycki podali się do dymisyi. Cesarz dymisye sobie przedłożone przyjął, odznaczył wszystkich dymisyonowanych orderami, a równocześnie zamianował następców, a to dr. Franciszka Fiedlera, ministrem handlu, dr. Alfreda Ebenhocha ministrem rolnictwa, a posłów Franciszka Peschkę i Karola Praszka ministrami rodakami. Ministrem – bez teki na razie—został też mianowany członek stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego, dr. Albert Gessman, dla którego utworzone zostanie w najbliższym czasie ministerstwo robót publicznych.

Ostatnie przesilenie ministeryalne, zarówno co do swej genezy, jak co do przebiegu, nie przedstawia się wcale sympatycznie. Powszechne jest bowiem przekonanie, że motywem głównym



Zmiany ministrów: Ustępujący minister-rodak niemiecki Henryk Prade.

sprężyną, która całe przesilenie wywołała, to walka o stanowiska osobiste, walka o pensye. Niewątpliwie polityka parlamentarna nigdy nie była zupełnie wolną od objawów osobistej ambicyi, ale na ogół chodziło w tej polityce raczej o zdobycie



Królestwo hiszpańscy w podróży: Król Alfons XIII, wraz z żoną królową Wiktoryą opuszczają pałac W. Ks. Cyryla w Paryżu.

władzy dla pewnych stronnictw, dla pewnych partyi. Tymczasem w tym wypadku ambicye osobiste wystąpiły na jaw w całej swej nagości. Atutem, który kandydaci na ministrów wysunęli przy poparciu swych partyi przeciw rządowi, była kwestya przyjęcia ugody. Wiadomo, że rządowi na zawarciu ugody austryacko-węgierskiej nadzwyczajnie zależy, że jest to kwestya, która od dziesięciu lat trzymała państwo w naprężeniu, która pochłonęła 9 gabinetów i paraliżowała wszelką czynność ustawodawczą na polu reform społecznych. Była to więc doskonała sposobność do wymuszenia koncesyi, choćby osobistych.

Ostateczne ukształtowanie stronnictw w parlamencie nastąpi dopiero po załatwieniu ugody. Wtedy też dopiero będzie można mówić o zorganizowanej większości i o ustaleniu stosunków na ławie rządowej i w klubach.

Nowi ministrowie obejmują swe stanowiska w najbliższych dniach. Najstarszym z nich pod względem wieku jest dr. Gessmann, przyszły minister robót publicznych; przyjaciel osobisty i polityczny burmistrza wiedeńskiego dr. Luegera, należy do najradykalniejszych klerykałów i antysemitów. Nowy minister rolnictwa dr. Ebenhoch, należy również do głównych działaczów partyi klerykalnej. W radzie państwa zasiada już od r. 1888. Dr. Fiedler, profesor uniwersytetu, mianowany po dr. Forztcie ministrem handlu, jest członkiem partyi młodoczeskiej i jednym z najwybitniejszych jej przedstawicieli. Minister czeski Praszek, jest samoukiem, ukończył tylko szkołę ludową, a w czasie służby wojskowej osiągnął stopień kaprala. Należy do najwybitniejszych agraryuszów czeskich, a w życiu politycznem odznaczył się namiętną walką przeciw Młodoczechom. Minister niemiecki Peschka, jest także agraryuszem i jako taki wchodzi w skład parlamentu od r. 1891.

W związku z przesileniem w gabinecie, pozostaje i przesilenie w Kole polskiem w Wiedniu. Z powodu mianowicie ustąpienia Wojciecha hr. Dzieduszyckiego ze stanowiska ministra dla Galicyi, desygnowany został na jego miejsce prezes Koła polskiego p. Dawid Abrahamowicz. Wobec tego zrezygnował on z godności prezesa Koła polskiego.

Sprawa ta wpłynie niewątpliwie poważnie na politykę Koła, gdyż ster rządów w delegacyi polskiej przejdzie obecnie w ręce demokratyczne, natomiast w ministerstwie galicyjskiem zaszła tylko zmiana osób, pojęcia bowiem i przekonania zarówno b. ministra hr. Dzieduszyckiego, jak obecnego ministra p. Abrahamowicza są w punktach zasadniczych zupełnie identyczne.

Królestwo hiszpańscy w podróży.

W końcu ubiegłego miesiąca królewska para hiszpańska w przejeździe do Anglii bawiła przez dzień jeden w Paryżu. Król Alfons XIII., pamiętny owacyjnego przyjęcia, jakiego doznał przed dwoma laty podczas pierwszego pobytu swego we Francyi, zatrzymał się obecnie w Paryżu wraz z żoną swą królową Wiktoryą i kilkumiesięcznym zaledwie następcą tronu, ks. Asturyi. Ludność paryska entuzyastycznie przyjmowała młodych małżonków, którzy pomimo ścisłego incognita — podróżują mianowicie pod nazwiskiem hr. de Covandonga — nie opuścili sposobności, by odwiedzić stolicę Francyi. Rano na dworcu oczekiwał na parę królewską prezydent Fallières wraz z żoną w otoczeniu ministrów i ciała dyplomatycznego. Po powitaniu para królewska odjechała do hotelu Meu-



Królestwo hiszpańscy w podróży: Król grecki Jerzy (X) oczekujący wraz z tłumem na ukazanie się pary hiszpańskiej.



Fot. M. Münz, Lwów.

Pożar browaru: Zniszczona skutkiem pożaru smolarnia Tow. akc. browarów we Lwowie.

rice, skąd w kilka chwil potem udała się na śniadanie do stale mieszkającego w Paryżu wielkiego księcia Cyryla, wieczorem zaś odbył się galowy obiad w pałacu elizejskim, wydany przez prezydenta Falliérés'a, poczem tejże nocy król z rodziną odjechał do Anglii.



Wybuch gazu: Widok zburzonego wybuchem domu

Podczas owacyi, jaką ludność paryska witała młodych małżonków królewskich, znalazł się w tłumie i król grecki Jerzy, który gorąco oklaskiwał swego „kolegę" z tronu. Ubrany skromnie nie zwracał niczyjej uwagi, znalazł się jednak ktoś, kto go poznał i zdradził jego incognito. W jednej chwili cała masa publiczności otoczyła ukrywającego się króla i poczęła gorąco go oklaskiwać.

Krajowy Związek sędziów.

W erze ogólnej kooperacyi wszystkich stanów i zawodów, w dobie organizowania się wszelkich kategoryi pracowników, nie mógł pozostać w tyle wielki stan sędziowski, którego armia dochodzi do tysiąca żołnierzy. Zebrali się tedy ubiegłej niedzieli sędziowie, reprezentujący wszystkie prawie galicyjskie sądy, by odbyć konstytuujące walne zgromadzenie Krajowego Związku sędziów.

W myśl wezwania Komitetu organizacyjnego, zebrało się w lwowskiej wielkiej sali rozpraw sądu przeszło 300 sędziów ze wszystkich stron kraju.

Obrady zagaił, a następnie im przewodniczył starszy radca Leopold Hauser. Wygłoszono dwa referaty, z których jeden oświadczył się przeciw stworzeniu odrębnej Krajowej organizacyi a za przystąpieniem do centralnego Związku wiedeńskiego (ref. radca Vincenz ze Stryja), drugi zaś, przedstawiony przez starszego radcę Szymonowicza ze Lwowa bronił gorąco potrzeby organizacyi Krajowej, którą zebranie uznało zresztą jako już istniejącą, a zatem jako stojącą poza dyskusyą.

Przy przeprowadzonych wyborach do wydziału, wybrano przewodniczącym starszego radcę Hausera, zastępcą radcę Szymonowicza, sekretarzem sędziego Semkowicza, zastępcą prokuratora Frankego a skarbnikiem prokuratora p. Schreibra.

Zjazd, który obradował z przerwą obiadową przez cały prawie dzień, zakończył się odczytem dra Hahna o historycznym rozwoju niezawisłości sędziowskiej.



Pożar stacyi telefonów w Antwerpii: Wieża z rusztowaniem przewodów telefonicznych po pożarze.

Pożar browaru.

Lwów ma dziś jeden tylko wielki browar, który jest własnością lwowskiego tow. akcyjnego browarów. Browar ten kryje całe prawie lwowskie zapotrzebowanie, które jest wcale a nawet bardzo znaczne. Browarowi temu groziło ubiegłego tygodnia niebezpieczeństwo zupełnej zagłady, coby było połączone ze stratą nietylko dla tow. akcyjnego, ale i dla — pijących.

W nocy bowiem ze środy na czwartek ubiegłego tygodnia wybuchł w smolarni, w której się zalewa i szpuntuje beczki, groźny pożar i w jednej chwili objął cztery wielkie ubikacye, niszcząc z żywiołową siłą nietylko budynek ale i wewnętrzne urządzenie. Nad ugaszeniem pożaru pracowały trzy pogotowia strażackie a to lwowskie, kleparowskie i zamarstynowskie a ich połączonym siłom udało się dopiero po trzygodzinnej pracy pożar ugasić.

Spalił się kompletnie dach, oraz część wewnętrznego urządzenia.



Fot. M. Münz, Lwów.

Krajowy Związek sędziów: Urzędnicy sędziowscy, obradujący w sali rozpraw sądu krajowego, nad organizacyą kraj. Związku.

L. de Laëre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu“.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

7 (Ciąg dalszy).

Z bocznej kieszeni surduta wyjął notatnik, przez chwilę szukał w nim czegoś gorączkowo.

— San Francisco... pierwszy pociąg odchodzi o godzinie siódmej. Powietrze w New-Yorku nie służy mi...

Spojrzał na zegarek. Była godzina szósta zrana. Odświeżył twarz nabrzmiałą od bezsennie spędzonej nocy, zmienił ubranie i zadzwonił na służącego.

— Proszę znieść walizę i spowadzić powóz — rozkazał.

— Hotelowe powozy stoją gotowe na ulicy, panie poruczniku — odpowiedział służący.

— Mówiłem już, aby mnie nie nazywać porucznikiem — rzucił niecierpliwie nieznajomy. Po chwili ubrany, jak do podróży, schodził ze schodów. Równocześnie otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i wysoki Anglik, któregośmy już widzieli w sali gry, wyszedł ostrożnie i skierował się do windy. W chwili, gdy młody podróżny ukazał się w obszernej sali, Anglik z flegmatyczną miną oglądał rozwieszone tam plakaty i afisze. Po załatwieniu rachunku w portyerni, nieznajomy wskoczył do oczekującego przed hotelem powozu.

— Pacific Railway! — zawołał do stangreta.

Powóz potoczył się szybko. W tej samej chwili chudy Anglik wybiegł z hotelu i wskoczył do przejeżdżającej dorożki.

— Dziesięć dolarów jeżeli dogonisz tamten powóz — zawołał gorączkowo.

Ale nie było to łatwem. Choć wczesna była bardzo godzina, ruch na ulicach panował ożywiony. Ze wszystkich stron krzyżowały się powozy, dorożki i ciężarowe wozy. Dorożkarz musiał zwalniać biegu w obawie wypadku. Za chwilę jednak obydwa powozy zrównały się. Dorożkarz chciał wyminąć hotelowy powóz, lecz tenże szybko zajechał mu drogę. Zniecierpliwiony dorożkarz zaciął ostro konia, który nagle stanął dęba, szarpnął gwałtownie naprzód i zawadził w pędzie kołem o powóz, wiozący nieznajomego. Konie, niespodziewanie szarpnięte, zwaliły się ciężko na kamienie i powóz ze złamanym dyszlem przechylił się na jedną stronę. Na ten widok Anglik wyskoczył z dorożki i podbiegł zaniepokojony.

— Do stu piorunów! — zawołał. Czy się tam co złego nie stało?

Młody porucznik, silnie potłuczony, leżał na kamieniach. Dwóch nadbiegłych policyantów usiłowało go podnieść.

— Ja sam będę towarzyszyć temu panu — zaofiarował się Anglik. Znam go. To członek amerykańskiego Klubu. Sprowadźcie panowie powóz, a ja zajmę się rannym i odwiozę go do hotelu.

Gdy powóz z rannym zajechał przed Klub, oficer rosyjski, który z Anglikiem przyglądał się grze w sali, znajdował się właśnie u wejścia. Na widok swojego towarzysza, pomagającemu młodemu podróżnemu wysiąść z powozu, odbiło się na twarzy jego silne zdziwienie. Anglik jednak nieznacznie uczynił w jego kierunku ruch uspakajający.

Nazajutrz Rosyanin, Anglik i porucznik zabawiali się rozmową w gwarnych, jasno oświetlonych salach gry. Młody podróżny miał zwichniętą nogę i wyjazd swój musiał opóźnić o dwa dni. Opóźnienie to niecierpliwiło go i denerwowało widocznie. Czem tu zabić te długie, wlokące się nieznośnie godziny? Nęciła go gra, szczęście jednakże odsunęło się od niego. Pozostało mu z całego majątku tylko dwieście dolarów. Suma ta wystarczała zaledwie na opłacenie kosztów podróży.

— A więc pan zrezygnował już ze szczęścia przy zielonym stoliku — zapytał Rosyanin patrząc na porucznika złośliwem spojrzeniem zielonych, świecących swych oczu.

— Tak, już skończyłem! Dziwny pech mnie prześladuje — odpowiedział zapytany.

— Nie wierzę w stałość pańskiego postanowienia.

— A jednak oprę się tej chęci. Zresztą i tak pomimo zakazu lekarza, jutro już odjechać stanowczo muszę.

— Pan się udaje do San-Francisco, nieprawdaż?

— Tak, albo do Sacramento... jeszcze nie jestem zdecydowany.

— Czy będę bardzo niedyskretny, jeżeli zapytam się pana, jaka sprawa tam pana wzywa?

Najoczywiściej pytanie to było bardzo niedyskretne, bo porucznik zdziwiony i zaniepokojony spojrzał na Rosyanina. Porucznik Steward — choć wiele ciemnych spraw ciążyło mu na sumieniu — nie był, jak to powiadają, zbrodniarzem z profesyi, to znaczy, że nie posiadał jeszcze trudnego daru udawania i wysubtelnionej podejrzliwości. Dotąd dziwne szczęście towarzyszyło mu wszędzie. Jako dezerter armii francuskiej, przebywał dłuższy czas w Paryżu, nie potrzebując się ukrywać, a nawet znany był w szerokich kołach jako miły towarzysz nocnych szulerek i zabaw. Szczęście to rozuchwaliło go jednak cokolwiek i dlatego to wolał dla własnego wewnętrznego spokoju na czas pewien oddalić się z kraju, choć nie wierzył w możliwość grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Pytanie Rosyanina zaskoczyło go niespodziewanie, lecz zaniepokojenie to rozwiało się natychmiast, gdy na jowialnej, szczerej twarzy pytającego, nie dostrzegł nic, coby niepokój jego potwierdzić mogło.

— Właściwie jeszcze nie wiem, co tam robić będę — odpowiedział swobodnie. Mam kilka korzystnych interesów na widoku; naturalnie wybiorę najlepszy.

— Zanim jednak wyruszymy w drogę — zaproponował major — czy zechce pan zagrać ze mną partyę pikiety. Gra ta nie jest ryzykowna i niebezpieczna, a posłuży nam do zabicia czasu. No, zgadza się pan? Po franku punkt.

— Po franku? I owszem, służę panu — odpowiedział grzecznie młody człowiek.

Po chwili zasiedli do gry.

— Pan jedzie z Londynu, nieprawdaż? — zapytał Rosyanin towarzysza po przegraniu kilku partyi.

— Tak jest, z Londynu.

— Pan Watts wspomniał mi, że należał pan niegdyś do marynarki?

— Tak jest. Służyłem w angielskiem towarzystwie.

— I zawód ten nie podoba się panu?

— Tak i nie. Lubię morze. Jednakże przyzna pan, że ciągła monotonna podróż między New-Yorkiem a Liverpoolem nie może dać pożądanych wrażeń i zadowolenia. Znudziło mi się już to życie. Przyznam się panu, pragnę bardzo znaleść korzystne i odpowiadające moim wymaganiom zajęcie.

— A gdybym ja panu to zajęcie zaofiarował, czy przyjąłbyś je pan? — zapytał Rosyanin.

— Zależałoby to od tego, do którego kraju powołałoby mnie nowe moje obowiązki.

— Do Rosyi.

— A więc pan naprawdę ma coś na myśli?

— Ależ tak! Czyżbym inaczej czynił panu tę propozycyę. Ot! widzi pan — dodał major odrzucając karty i patrząc życzliwie na młodego swojego towarzysza. Zajął mnie pan! lubię młodych, energicznych i śmiałych ludzi. A za takiego właśnie pana uważam. Może być, że w San-Francisco wywalczy pan sobie wspanialsze i dogodniejsze stanowisko... ale powtarzam, jeżeli pan mi nie odmówi — to służę panu radą i pomocą w każdej chwili.

Porucznik Steward słuchał zamyślony. Sir Watts zaś, który siedział obok grających, zajęty głęboko czytaniem „Timesa“, nie należał do rozmowy.

— Posiadam parowiec w Odesie nad Czarnem morzem — mówił dalej Rosyanin. Kapitan mój umarł przed niedawnym czasem, mogę więc panu miejsce to zaofiarować.

— Ale czemu mam zawdzięczyć tę szczególną życzliwość pana — zapytał porucznik, niemogąc opryztomnieć ze zdziwienia.

— Instynktownej sympatyi... Pan się mi podoba, to wystarcza... powinien pan być z tego zadowolony.

— Oceniam w zupełności łaskawość pana... Jakież będą warunki mojego nowego obowiązku?

— Otrzyma pan 250 rubli miesięcznie... Sześć miesięcy spędzać pan będzie corocznie na morzu... czasem nawet mniej. No cóż? zgadza się pan?

— Doprawdy, propozycya pana majora tak nagle i niespodziewanie mnie zaskoczyła.

— A więc niech się pan namyśli przez kilka dni i odpowie mi stanowczo.

Mówiąc to major Rakulof zgarnął kilka sztuk złota, leżącego przed nim na stoliku, pożegnał życzliwie porucznika i wyszedł.

— Idziesz ze mną Watts? — spytał już we drzwiach. Muszę się udać koniecznie do konsulatu.

Anglik odrzucił czytany dziennik i udał się za towarzyszem. Porucznik Steward pozostał w sali gry. Usiadł na kanapie i zamyślił się głęboko. Czy miał przyjąć propozycye tego nieznajomego Rosyanina i wyjechać z nim na zawsze z kraju? Czy nie było to lepsze, niż projektowany wyjazd do San-Francisco? Zmieni jeszcze raz nazwisko i wytłómaczy to czemkolwiek majorowi. Nowe zaś zajęcie, nowe obowiązki, znajomości, uchronią go przed poszukiwaniami ze strony władz wojskowych i cywilnych. Przytem miał już teraz przyszłość zapewnioną, bez tej gnębiącej troski o jutro. Awanturnicze życie, na które był odtąd skazany, zaczęło mu już nieznośnie ciężyć. Czyż mógł się wahać jeszcze?

— No, dalej — szepnął. Trzeba się zdecydować i nie odrzucać nadarzającej się szczęśliwej sposobności. Los podaje mi niespodziewanie deskę ratunku, którą odrzucać byłoby szaleństwem.

. . . .

W kilka dni później Rosyanin, Anglik i porucznik Steward znajdowali się już na pokładzie okrętu, płynącego do Francyi. Major miał zamiar zatrzymać się na dwa dni w Paryżu, a stąd podążyć już prosto do Odessy, gdzie miał się zająć zainstalowaniem swego kapitana. Steward skrzywił się trochę na wiadomość, że będzie zmuszony zatrzymać się we Francyi, od której radby jak najdalej oddalić się, ale musiał uszanować wolę majora Rakulof.

ROZDZIAŁ XVII.

Serce matki i serce córki.

W dniu oznaczonym do objęcia swoich nowych obowiązków, córka Klemensa Gibier dzwoniła do mieszkania artystki. Pani Ducret jej towarzyszyła. Murzynka przyszła otworzyć. Twarz miała zmienioną i zbladłą.

— Co się tu stało? — zapytała pani Ducret zaniepokojona. Czyżby przypadkiem zaszło jakie nieszczęście?

Dwie duże łzy potoczyły się po twarzy starej służącej.

— Moja pani jest chora — rzekła wpuszczając do przedpokoju obydwie kobiety.

W tej samej chwili rozległ się głos dzwonka, dobiegający z wnętrza mieszkania. Klara spiesznie odeszła i powróciła po chwili z wiadomością, że chora pragnie ujrzeć nowoprzybyłe kobiety. Ludmiła leżała w łóżku. Ciężkie przejścia tych ostatnich ośmiu dni odbiły się wyrazistymi śladami na jej twarzy. Było to tylko widmo pięknej niegdyś Kreolki. W twarzy białej, poprzecinanej sinemi żyłami, błyszczały gorączkowo duże czarne oczy. Wychudłe ręce o bladych paznokciach spoczywały na kołdrze i poruszyły się nerwowo na widok wchodzących.

— Pani bardzo cierpi?—zapytała pani Ducret podchodząc do łóżka chorej. Jeżeli rozmowa panią męczy to oddalimy się natychmiast.

Artystka spojrzała smutnie na mówiącą.

— Tak jest, jestem bardzo cierpiąca — rzekła słabym głosem. Niech panie nie odchodzą, obecność pań sprawia mi pewną rozrywkę. W tej chwili mi cokolwiek lepiej, jestem spokojniejsza, ale wieczory i noce są okropne. Gorączka silna opanowuje mnie i opuszcza dopiero nad ranem. Oh! jak jabym pragnęła umrzeć — mówiąc to artystka rozpaczliwym ruchem zakryła sobie twarz rękami.

Pani Ducret patrzyła ze współczuciem na tę nieszczęśliwą kobietę. Subtelną intuicyą kobiety odgadła, że przed oczami jej odgrywa się jakiś cichy i tajemniczy dramat. Pochyliła się z serdeczną czułością nad chorą.

— Niech pani nie rozpacza — rzekła życzliwie. Jeżeli pani pozwoli, powrócimy tu dziś wieczór z córką i troskliwem staraniem zdołamy może przynieść trochę ulgi w jej cierpieniu.

Mówiąc to pani Ducret chciała pożegnać chorą, lecz nagle głuchy jęk wydarł się z piersi artystki. Z oczami szeroko rozwartemi, z rękami wyciągniętemi naprzód, ruchem szalonego lęku młoda kobieta powstała i zdawało się, że usiłuje przemocą jakieś okropne widmo siłą od siebie oddalić. Stara murzynka z okrzykiem rzuciła się ku chorej i drżącemi rękami obejmowała drgające i zziębnięte ciało swej pani.

— Puść mnie, puść, boję się. Ratujcie mnie, ratujcie! — wołała nieszczęśliwa kobieta w ataku nagłej gorączki.

Głuche, urywane westchnienia wydzierały się z jej piersi. Na wykrzywionej konwulsyjnie twarzy widniała rozpacz i lęk śmiertelny.

— Trzeba iść po lekarza — zawołała pani Ducret drżąca i blada ze wzruszenia. Któryż lekarz leczy waszą panią?

— Doktór Verlin, na ulicy Tait bout, Nr. 30.

Pani Ducret wybiegła spiesznie. Henryetta pozostała przy chorej. Po odejściu pani Ducret cho-

ra uspokoiła się cokolwiek. Naprężenie nerwowe, które wstrząsało jej ciałem, zaczęło powoli ustępować. Po chwili głowa jej zesunęła się bezwładnie na poduszki. Na twarz bladą wystąpiły dwie krwawe plamy.

— Paweł Ludwik... dezerter... Martynika... zbrodniarz... Pani de Trèves...

Słowa te bezwładnie wybiegały z ust nieszczęśliwej. Henryetta, usłyszawszy nazwisko pani de Trèves, zadrżała i pochyliła się ku starej murzynce.

— Co ona powiedziała? – zapytała wiedziona nagłym przeczuciem.

— Nie wiem. Ona chora – odpowiedziała stara potrząsając głową.

Chora szeptała dalej, a Henryetta blada z oczami rozszerzonemi lękiem, chwytała chciwie każde jej słowo. W tej samej chwili pani Ducret powróciła, prowadząc za sobą lekarza, który natychmiast zajął się chorą. Pani Ducret po chwili spostrzegła bladość i pomięszanie Henryetty.

— Co ci jest, moje dziecko, drżysz cała?

— Matko, wyjdźmy stąd, muszę z tobą pomówić...

— Ależ nie można stąd się tak przecie oddalić.

— Wyjdźmy, wyjdźmy, błagam cię.

— Boże, co się to dzieje?—rzekła pani Ducret zaniepokojona. Jestem zmuszona wracać do domu — rzekła zwracając się do lekarza. Syn na mnie czeka. Czy grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Na razie nie, lecz te ataki nerwowe wyczerpują ją bardzo; niewiadomo więc co przyszłość pokaże.

— Biedna kobieta — szepnęła pani Ducret.

Przed domem oczekiwał powóz, który przywiózł lekarza.

— Matko, wsiądźmy — rzekła głosem stanowczym Henryetta.

Pani Ducret machinalnie usłuchała rozkazu.

— Ulica Rivoli, numer 138 — zawołała Henryetta.

— Ależ tam mieszka sędzia pan Davricourt — rzekła pani Ducret, gdy powóz ruszył z miejsca.

— Tak jest, matko, do niego właśnie jedziemy...

Twarz Henryety jaśniała dziwną radością.

— Jadę uwolnić mojego ojca — zawołała młoda dziewczyna, otaczając ramionami szyję pani Ducret. Wiem kto jest mordercą pani de Trèves.

— Wiesz kto jest mordercą pani de Trèves? ależ, moje dziecko, co ty mówisz?

Henryetta w krótkich słowach opowiedziała pani Ducret treść słów, które w gorączce wybiegły z ust chorej artystki.

— Tak, matko, tak — mówiła Henryetta — trzy razy powtórzyła to imię. Pan Davricourt będzie nam mógł może to wytłómaczyć! Oh! zdaje mi się, że śnię! Mój ojciec, mój biedny ojciec będzie uwolniony. Paweł Ludwik jest mordercą pani de Trèves.

Nagle lekki okrzyk wybiegł z piersi młodej dziewczyny. Sina bladość pokryła twarz pani Ducret, a ręce jej, obejmujące narzeczoną swojego syna, zadrżały nerwowo.

— Co ci jest matko? — zapytała Henryetta zdziwiona.

Pani Ducret nagłym ruchem uchwyciła silniej rękę młodej dziewczyny i przyciągnęła ją do siebie.

— Henryetto powiedz, nieprawdaż, ty mnie kochasz, moje dziecko, nie chcesz, abym przez ciebie cierpiała... abym przez ciebie umarła.

— Boże! matko, co ty mówisz!

— Później, później o wszystkiem się dowiesz — szeptała pani Ducret prawie nieprzytomna. Błagam cię, nie jedźmy do sędziego... I nie mów nikomu o tem, coś słyszała przed chwilą, tu chodzi o spokój, o moje życie. Henryetto! każ dorożkarzowi zawieść nas w stronę dworca kolei.

Henryetta wychyliła się przez okno dorożki i wydała stosowny rozkaz. Poczem gorączkowym ruchem ujęła dłoń pani Ducret.

— Matko, przez litość, powiedz co to znaczy?

— Później, później, gdy będziemy razem z Piotrem.

Była już godzina wpół do dwunastej, gdy obydwie kobiety powróciły do domu. Pani Ducret, nierozebrawszy się nawet, pociągnęła Henryettę do pokoju. Oczy miała błędne i nerwowe dreszcze raz po raz wstrząsały jej ciałem.

— Posłuchaj mnie, Henryetto, Piotr zaraz wróci... To, co ci mam powiedzieć, jest bardzo smutne, ale muszę to uczynić, muszę — szepnęła wzruszona, poczem szybko, tak jakgdyby się lękała by jej odwaga nie opuściła, zwierzyła się młodej dziewczynie z tajemnicy swojego życia. Opowiedziała jej całą swoją przeszłość, o stosunku swoim z sędzią Davricourt, o dziecku, które było owocem jej miłości i zapomnienia i o poszukiwaniach, gdy dziecko to zaginęło.

Młoda dziewczyna słuchała przerażona; mgła ciemna zasłoniła jej oczy i miała wrażenie, że jakiś wielki ciężar ugniata jej piersi. Siedziała tak chwilę osłupiała, złamana, przygnębiona tem, co usłyszała.



— Puść mnie, puść, boję się! Ratujcie mnie, ratujcie

Pani Ducret wzrokiem śledziła wrażenie, jakie wywarło na Henryecie to straszne opowiadanie. W umyśle jej powstała jedna tylko myśl; ratowania swojego dziecka, które zagrożone, ale niewinne potrzebowało jej pomocy. Czas mijał, Piotr mógł nadejść lada chwila. Pani Ducret uklękła przy młodej dziewczynie i nieśmiejąc już jej dotknąć, wyciągnęła do niej błagalnie ramiona.

— Henryetto! ty musisz zrozumieć mnie i przebaczyć. Spowiedź ta kosztowała mnie wiele wysiłku. Ta ponura sprawa rozświetlić się musi. Tak, ta nieszczęśliwa o nim mówiła w swojej gorączce. Ale Paweł mój jest niewinny, słyszysz Henryetto, on jest niewinny. Muszę go wyszukać i wybadać. A ta kobieta, ona coś wie, ona nam pomoże. Ojciec twój będzie wolny, a mój syn uratowany.

Henryetta powoli wracała do przytomności.

— A jeżeli to, co od niej się dowiesz, potępi twojego syna — szepnęła zdławionym głosem.

Pani Ducret wybuchnęła nienaturalnym śmiechem.

— Mój syn zbrodniarzem? Ależ Henryetto, ty szaloną jesteś.

— A gdyby tak było, matko? czybyś go wydała?

— Wydać mojego syna, nie, to straszne!...

— A mój ojciec?

— Twój ojciec? twój ojciec? my go wyratujemy! Ale ty, moje dziecko, ulituj się nademną! Posłuchaj mnie: Tamten to brat Piotra i twoim bratem będzie. Przez wzgląd dla Piotra, przez wzgląd na miłość, którą masz dla niego, przyrzeknij mi, że mi pozwolisz działać, a ja ci przysięgam, że ojca twojego uwolnię!...

Młoda dziewczyna spuściła głowę i milczała.

— Dlaczego ty mi nie odpowiadasz, Henryetto? — zawołała pani Ducret błagająco.

— Nie mogę, to okropne.

Pani Ducret powstała z ruchem głębokiej rozpaczy.

— Ach, nieszczęśliwe dziecko, nieszczęśliwe dziecko.

Nagle szelest jakiś dobiegł drzwi wchodowych; ktoś szedł po schodach.

— To Piotr, to Piotr — zawołała Henryetta, a na twarzy jej odbiła się głęboka boleść.

Pani Ducret milcząc wyciągnęła do niej ręce.

Kroki się zbliżały. Młoda dziewczyna nadsłuchiwała, blada z przerażeniem w oczach. W jednej chwili jednak Henryetta jakimś błyskawicznym odruchem myśli pojęła boleść i rozpacz tej nieszczęśliwej kobiety, stojącej przed nią. Serce jej zabiło silniej na myśl, że w jej rękach leży spokój rodziny, do której wejść niedługo miała. Miłość swoją i życie byłaby bez szemrania poświęciła dla ojca, ale czy miała prawo niszczyć egzystencyę dwóch drogich sobie istot? — „Ojcze mój, przebacz“ szepnęła w duchu, poczem podbiegła szybko do pani Ducret.

— Matko, nie rozpaczaj, zaczekam — rzekła żywo.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody mechanik. Smutny był i przygnębiony. Odrzucił kapelusz na stołek i nie zdając się spostrzegać zmięszania obydwóch kobiet, ucałował je serdecznie.

Po chwili Henryetta wysunęła się z pokoju, chcąc matkę pozostawić sam na sam z synem.

— Mamo — rzekł Piotr przybliżając się do pani Ducret. Muszę z tobą pomówić dłużej, tylko nie przy niej.

— A czem, moje dziecko?—zapytała zaniepokojona pani Ducret.

— Ojciec Henryetty ma stanąć za kilka dni przed sądem — odpowiedział Piotr ponuro.

Pani Ducret z jękiem osunęła się na kanapę.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pociąg pospieszny z Calais.

Parowce angielskiego Towarzystwa marynarki, zazwyczaj w siedmiu lub dziewięciu dniach przebywają drogę do Hanoweru; nasi trzej podróżni: major Rakulof, sir Watts i porucznik Steward odbyli jednakże w przeciągu dwóch tygodni tę podróż i pomimo zwłoki, zmuszeni byli wylądować w Anglii. W trzy dni po wyjeździe z New-Yorku, gwałtowna burza zaskoczyła ich na morzu. Parowiec uległ poważnym uszkodzeniom, a komendant, który nie mógł szkody tej naprawić, był zmuszony cofnąć się z drogi. Na szczęście jednak w sam dzień wypadku francuski okręt spotkał się z angielskim parowcem i kilku podróżnych, którym czas nie pozwalał na dłuższe bawienie się w drodze, otrzymało pozwolenie przejścia na pokład angielskiego okrętu. Pomiędzy tymi podróżnymi znajdował się major Rakulof i dwaj jego towarzysze. W tydzień później wylądowywali w Portsmouth, a w kilka godzin później pędzili pospiesznym pociągiem z Calais do Paryża.

Był to już wieczór, pociąg przed chwilą wyszedł ze stacyi i pędził całą siłą pary w ciemnościach. Deszcz lał strumieniami i ciężkie czarne chmury wlokły się po niebie. Trzej podróżni znajdowali się sami w przedziale drugiej klasy. Major Rakulof wcisnął się w kąt na prawo, naprzeciwko niego usiadł porucznik Steward, sir Watts zaś zajął miejsce na drugim końcu ławeczki po tej samej stronie co porucznik marynarki. (C. d. n.)

Zdrady wojskowe we Francyi.

Opinia publiczna we Francyi zajęta jest obecnie dwiema zdradami, jakich dopuścili się na szkodę państwa niezależnie od siebie porucznik okrętowy Karol Benjamin Ullmo i kapitan wojsk liniowych Ludwik Berthon.

W końcu października b. r. minister marynarki otrzymał list anonimowy, w którym nieznany autor donosi, iż skradziony z biblioteki morskiej w Tulonie opis wojennych sygnałów marynarki francuskiej, obecnie znajduje się w jego rękach. Za dokument ten, pewne obce mocarstwo ofiaruje mu trzysta tysięcy franków, lecz on w poczuciu patryotycznem gotów jest zwrócić go Francyi za połowę tej ceny. Jeżeli ministeryum zgadza się



Zdrady wojskowe we Francyi: Kapitan Ludwik Berthon.

na jego propozycyę, to niech w jakim dzienniku tulońskim poda swe warunki w inseracie pod tytułem „Paweł do Piotra“. Przyczem zwraca uwagę, iż ma wspólników, którzy w razie jego aresztowania sygnały te sprzedadzą za granicę, a nadto za karę pomordują córki ministra marynarki. Minister po stwierdzeniu w bibliotece tulońskiej powyższej kradzieży, przeprowadził istotnie korespondencyę pod nagłówkiem „Paweł do Piotra“. Zgodził się na to, iż wysłannik rządu spotka się z posiadaczem tych sygnałów w pewnej grocie w zatoce Pllioules pod Tulonem, gdzie otrzyma żądaną sumę. Do załatwienia jednak tej transakcyi, minister wybrał pewnego boksera, a nadto miejscowość wskazaną otoczono tajnymi agentami. O naznaczonej porze autor listu czekał już z rewolwerem w ręku w umówionem miejscu. Przedstawiciel rządu, zbliżając się podniósł ręce do góry na znak, że nie ma broni i zażądał, by i on również schował swój rewolwer. Zaledwie ten uczynił to, otrzymał naraz silne uderzenie pięścią w twarz, od którego padł na ziemię. Po chwili, zanim przyszedł do przytomności, znalazł się już skrępowany kajdanami w drodze do więzienia. Tutaj okazało się, iż autorem tego listu jest dwudziestopięcioletni porucznik marynarki Karol Beniamin Ullmo. W służbie wojennej był on bardzo dobrze notowany, przeszłość jego za to była pod niejednym względem dość ciemna; w szkołach był już karany za kradzież. Majątek, jaki odziedziczył po swym ojcu, bogatym kupcu żydowskim, wkrótce przehulał z damami półświatka. Potem związał się z szansonetką „Lison“, której miłość opłacać musiał większemi sumami pieniędzy. Obecnie i ona znajduje się w więzieniu, po przeprowadzeniu bowiem rewizyi w ich domu przekonano się, iż przyjaciółka ta była zarazem i wspólniczką Ullma; wszelkie listy i odpisy skradzionych dokumentów były robione jej ręką.



Zdrady wojskowe we Francyi: Karol Benjamin Ullmo, porucznik marynarki.

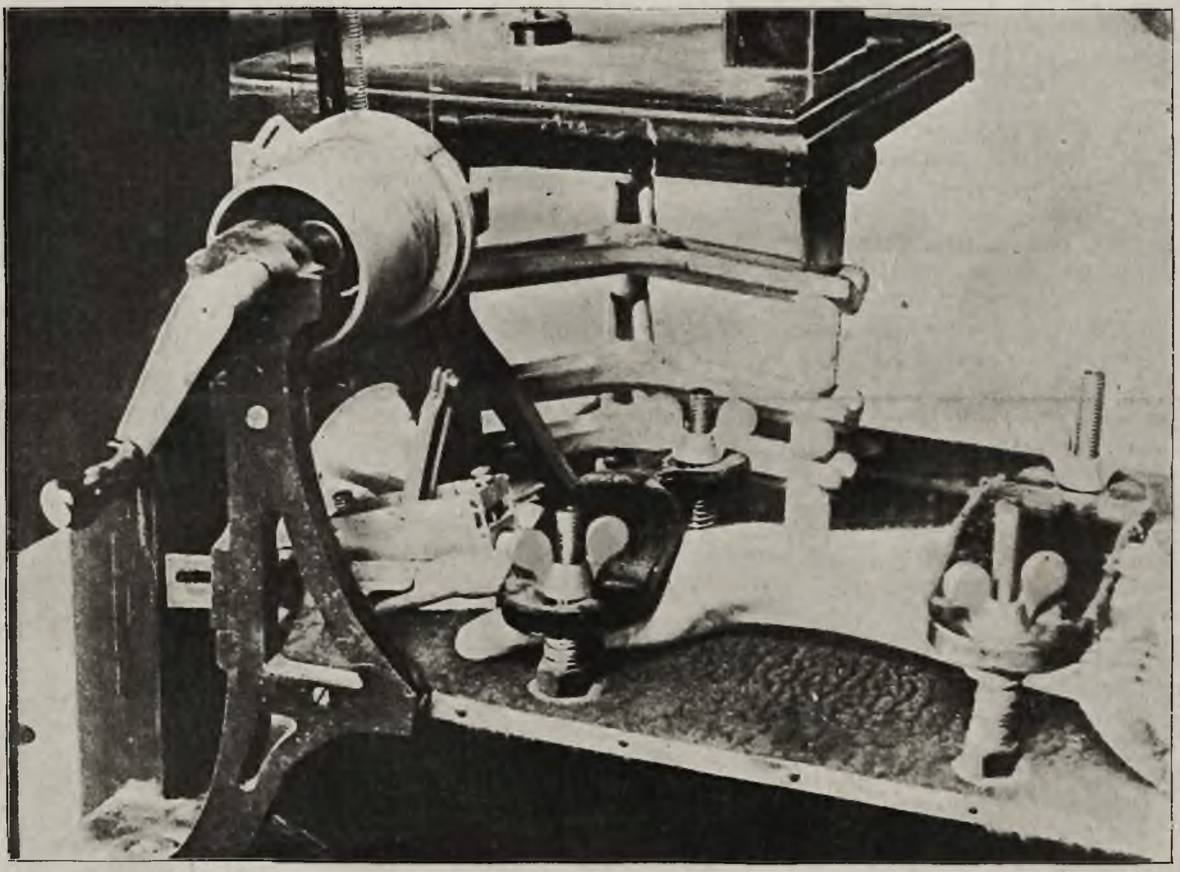
Drugą zdradę odkryto tylko przypadkiem. W jednym z hoteli brukselskich zamieszkujący tam Francuz, usłyszał przez ścianę rozmowę toczoną w sąsiednim pokoju. Sprzeczano się o dwadzieścia tysięcy franków. Jedna osoba mówiąca po francusku z akcentem niemieckim dawała 30 tysięcy franków, gdy ktoś inny wyrażający się płynnie po francusku domagał się 50 tysięcy, utrzymując, iż jeżeli ma popełnić podłość, to w każdym razie nie za mniejszą sumę. Wreszcie zgodzono się na pięćdziesiąt tysięcy, poczem na pożegnanie jeden z nich powiedział, iż wraca do Paryża, aby przygotować odpisy planów mobilizacyjnych. O fakcie tym Francuz zawiadomił natychmiast telegraficznie ministra wojny, który wydał rozkaz przeprowadzenia rewizyi u wszystkich oficerów wracających z Belgii. Na granicy okazało się, iż oficerem powracającym z Brukseli jest kapitan Ludwik Berthon. Przy rewizyi w mieszkaniu jego znaleziono dowody, iż sprzedawał Niemcom plany mobilizacyjne i rysunki nowych armat. Razem z nim aresztowano i jego żonę, która miała brać udział w zdradzie swego męża.



Zdrady wojskowe we Francyi: Felicya Berthon, żona Ludwika Berthon.

Mierzenie siły nerwów.

Jednem z najtrudniejszych ale i najbardziej interesujących zadań, jakie postanowiła rozwiązać najnowsza pedagogika, jest zbadanie stopnia znużenia uczniów po pewnym czasie nauki. Już od lat kilku czyniono w tym celu najrozmaitsze doświadczenia, by zbadać odporność organizmu na zmęczenie. Najwybitniejsi psychologowie poświęcali się badaniom tej kwestyi, poczynione jednak spostrzeżenia nie mogły być zupełnie ścisłe z powodu braku odpowiedniego instrumentu. Dotychczas poddawano uczniów w szkołach próbom myślowym i pamięciowym, mianowicie dla stwierdzenia, w jak długim czasie mógł bez natężenia pojmować i zapamiętywać nowe przedmioty.



Mierzenie siły nerwów: Przyrząd do mierzenia siły nerwów, podczas doświadczenia.

Niedoskonałości dotychczasowych metod zaradza najzupełniej nowy przyrząd, wynaleziony obecnie w Anglii. Rękę jednostki, której znużenie ma być mierzone, przymocowuje się za pomocą śrub do deski, palce zaś umieszczone w specyalnych narzędziach mierniczych wprawiają w ruch koło, które znaczy na odpowiednim przyrządzie siłę nerwów w danej chwili. W londyńskich szkołach wynalazek ten znalazł powszechne zastosowanie. Zba-



Zdrady wojskowe we Francyi: »Piękna Lison«, kochanka Ullma.

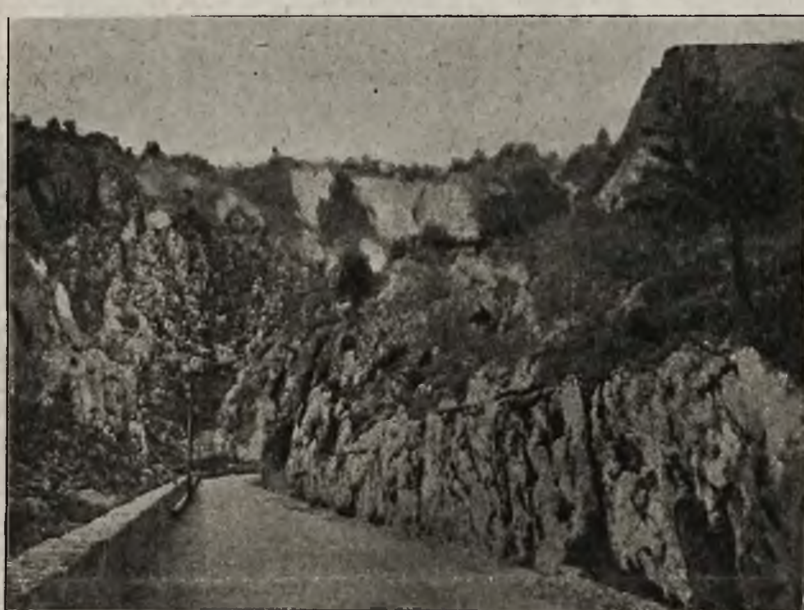
dano w ten sposób skutki, jakie sprawia nauka poszczególnych przedmiotów na odporność systemu nerwowego uczniów. Wskazanem byłoby poczynienie podobnych doświadczeń i w naszych gimnazyach, by ustrzedz młodzież od przeciążenia, na jakie dziś słusznie się uskarża.

Ośmioletni król.

Stara prawda historyczna, iż protekcya państwa silniejszego, rozciągnięta nad słabszem, nigdy nie wychodzi na korzyść protegowanego, spełniła się i na azyatyckiem królestwie Annamu, które pod opieką Francyi już dawno utraciło swoją niezależność polityczną, a dzisiaj musi ściśle spełniać rozporządzenia rezydenta francuskiego.

Dotychczasowy król Annamu, Than-Tai, według relacyi francuskich popadł w obłąkanie, z powodu którego miało cierpieć jego otoczenie. Zadecydowano więc w Paryżu, że król musi abdykować i uchwałę tę zakomunikowano mandarynom; na następcę przeznaczono ośmioletniego jego syna, urodzonego ze służącej dam pałacowych króla.

Następnego już dnia po zakomunikowaniu mandarynom postanowienia Francyi, odbyła się koronacya młodocianego monarchy; astrologowie i mędrcy mandaryńscy orzekli, iż dzień ten wróży nowemu panowaniu wielkie szczęście. Rano o godzinie dziewiątej po odprawieniu modłów przed ołtarzem zmarłych przodków, odbyło się uroczyste wręczenie nowemu królowi berła jako oznaki nowej jego władzy. O godzinie piątej popołudniu nowy król, któremu nadano imię Duy Tan, czyli „przyjaciel reform“, ukazał się w sali tronowej pałacu swego, gdzie przedstawiciel Francyi wyraził pozdrowienia i życzenia rządu swego, wyliczając zarazem reformy, jakie zaprowadziła Francya w Annamie. Po odpowiedzi króla rozpoczęła się długa i niezwykle uroczysta ceremonia składania monarsze hołdu przez książąt, mandarynów i wojsko annamskie. Po pięć razy z rzędu na znak mistrza ceremonii wszyscy dostojnicy państwowi padali na kolana, uderzając głową o ziemię u stóp tronu, na którym poczynała już drzemać głowa państwa. Po ukończeniu tej czołobitności, odprowadzono króla do jego komnat, gdzie odrazu zasiadł do nauki pisania. Młody władca poczuł odrazu cały ciężar rządów, kiedy w dniu wstąpienia na tron zamiast zabawki, podano mu do ręki tabliczkę i szyfer.



Zdrady wojskowe we Francyi: Wąwóz w zatoce Tulońskiej, w którym aresztowano Ullma.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Ośmioletni król: Duy-Tan, »przyjaciel reform«, nowy król Annamu.

Pranie moralności pruskiej.

Pranie moralności pruskiej, by stała się czystą, jak przystoi na państwo bojaźni Bożej, nie skończy się tak prędko. Proces Moltke-Harden był tylko zgromadzeniem na jedno miejsce brudów najwyższych sfer i przedstawieniem całego steku nieczystości przed forum publiczne. Sąd ławniczy, uwalniając Hardena, przyznał tylko, iż brud istotnie zagnieździł się na najwyższych szczytach państwa pruskiego, lecz praniem ich zająć się ma dopiero prokuratorya państwa, na wyraźny rozkaz Wilhelma, który obcując z brudnymi, sam mógł się zabrukać. Hardenowi wytoczono nowy proces. Obecny bohater dnia będzie skazany, a z chwilą tą bagniste łąki pruskie pokryją się znowu śnieżnemi liliami. Tymczasem odbył się nowy proces, ale już przed trybunałem karnym, który miał przywrócić kanclerzowi państwa, księciu Bülowowi dziewiczą czy-

Doniosły wynalazek Polaka.

Fonodiktograf, oto najnowsze wydoskonalenie fonografu, który dotychczas był tylko przedmiotem zbytkownym i służył wyłącznie zabawie. Wynalazek ten, który zrewolucyonizuje prawdopodobnie całą „biurowość“, jest pomysłem Polaka, pana Niewczyka we Lwowie, a przynosi on chlubę polskiemu imieniu i polskiemu przemysłowi. Fonodiktograf ma zupełnie usunąć potrzebę stenografii i umożliwić odrazu przeniesienie żywego słowa na papier przy pomocy maszyny do pisania.

Panu Niewczykowi udało się mianowicie uzupełnić fonograf „Kolumbia“ w ten sposób, że można w fonograf dyktować swobodnie jakąkolwiek mowę, korespondencyę lub artykuł dziennikarski, a udoskonalił go tak dalece, że na wypadek zastanowienia się lub przerwania przez dyktującego można ruch fonografu przerwać, a następnie go w tym samym punkcie podjąć.

Przerywanie odbywa się automatycznie zapomocą przyrządu, umieszczonego pod blatem biurka, który przez lekkie dotknięcie kolanem wstrzymuje lub wprowadza w ruch fonograf.

Po podyktowaniu odpowiedniej liczby korespondencyi, zmienia się jedynie słuchawki i puściwszy następnie fonograf w ruch, wydostaje się najwyraźniejsze powtórzenie wszystkich dyktatów z dokładnością, niepozostawiającą nic do życzenia.

Cały aparat umieszczony jest na małem, zgrabnem biurku, na którem stoi maszyna do pisania, a osoba pisząca z całą swobodą, jak wskazuje fotografia, odczytuje z „fonodyktografu“ dyktat i przenosi go z łatwością na papier.

Aparat ten, co do praktyczności swej już wypróbowany, znajdzie prawdopodobnie wszechstronne rozpowszechnienie. Zarówno w przedsiębiorstwach prywatnych, jak w instytucyach publicznych, może on oddać nieocenione usługi, to też doniosłość tego wynalazku jest istotnie nadzwyczaj wielką.



Fot. M. Münz Lwów.

Doniosły wynalazek Polaka: Fonodiktograf podczas dyktowania.



Fot. M. Münz, Lwów.

Doniosły wynalazek Polaka: Fonodiktograf podczas pisania

stość, podaną w podejrzenie przez dziennikarza Brandta. Słabą stroną procesu tego było to, iż oskarżony Brandt chciał prać cudzą bieliznę, choć sam nie nosi zbyt czystej. „Literat i publicysta“ Adolf Brandt w początkach swej karyery dziennikarskiej zajęty był szerzeniem anarchizmu, potem, około 1896 roku, kiedy w Niemczech rozprawiano szeroko o homoseksualizmie, Brandt stanął gorąco w obronie „miłości męskiej“. Występy Brandta nie zawsze zdradzały zdrowy rozsądek; w obronie swych przekonań, obił raz kanonika Dasbacha, drugi raz z galeryi parlamentu niemieckiego podczas rozpraw o imporcie bydła, rzucił pomiędzy posłów pakiet swych broszur z okrzykiem: „zajmujcie się prawami człowieka, a nie prawami bydląt“. Obecnie wystąpił przeciw Bülowowi, nie za jego homoseksualizm, lecz za obłudę, iż sam uprawiając romans z sekretarzem swoim Schoeferem, szczuje władze przeciw innym adeptom „miłości męskiej“. Homoseksualizm zaś jest cechą familijną Bülowów, bo brat kanclerza jest kochankiem sekretarza ks. Eulenburga, a i sam kanclerz podlegał „wymuszeniom“.

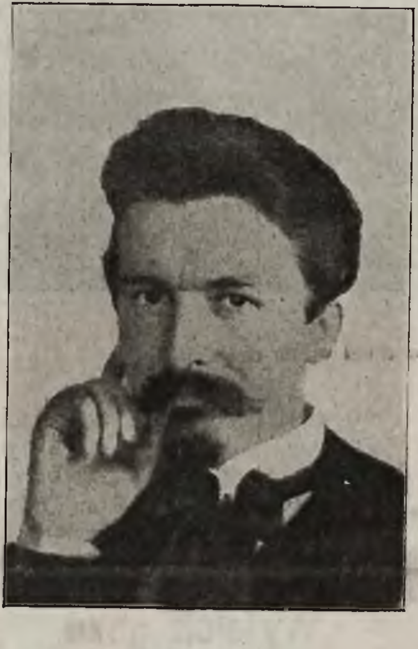


Pranie moralności pruskiej: Kanclerz ks. Bülow.



Pranie moralności pruskiej: Hr. Hohenau, główny świadek, który jednak w obawie aresztowania, nie stanął na rozprawie.

Na rozprawie zjawił się ks. Bülow osobiście. Na zarzuty Brandta odpowiedział, iż „miłość homoseksualna jest mu wstrętną i nawet jej nie rozumie“; przyznaje, iż Schoefer mieszka w pałacu kanclerskim, lecz tylko dla tego, by w każdej chwili mógł być przy swoim szefie, nigdy jednak sekretarza swego ani nie ściskał, ani nie całował. Przyznaje dalej ks. Bülow, iż znał wprawdzie hr. Hohenaua i ks. Eulenburga, lecz o ich zboczeniach dowiedział się dopiero w ostatnich czasach. Odpiera zaś stanowczo podejrzenia, iż brał jakikolwiek udział w sielankach, urządzanych w Rzymie w cienistych alejach parku Borghese i na Monte Pincio, do których miały należeć matka kanclerza, córka Crispiego, przywódca socyalistów włoskich Ferri i wiele innych osób. Zeznania swe zakończył ks. Bülow decydującem wyznaniem, iż „nie czuje najmniejszego wstrętu do kobiecego rodzaju“; w słowach tych kanclerza czytać też można było wyrok dla Brandta. Z ważniejszych świadków nie stawili się



Pranie moralności pruskiej: Dziennikarz Brandt, skazany na półtora roku więzienia.

hr. Hohenau i hr. Lynar, który przeniósł się nagle do Szwajcaryi. Sensacyą było pojawienie się w sądzie ks. Eulenburga, który jednak — jak należało się spodziewać — zeznawał na korzyść Bülowa. Również i dr. Hirschfeld, rzeczoznawca z procesu Hardena wyparł się, iż słyszał cośkolwiek o zboczeniach Bülowa.

Nic dziwnego, iż wobec takich świadków oskarżony Brandt został skazany na półtora roku więzienia i w obawie ucieczki zaraz aresztowany, ks. Bülow zaś pozostał tak niewinnym po procesie, jak był nim i przed procesem.



Pranie moralności pruskiej Dr. Hirschfeld, rzeczoznawca w obu procesach.

Balon-motyl.

Wśród całej masy balonów najrozmaitszych systemów i kształtów, jakie oglądaliśmy w bieżącym roku, pierwsze miejsce zajmuje najświeższy wynalazek Roberta Esnault Pelterie. Niezwykła prostota pomysłu i wykonania stanowi zasadniczą cechę tego statku powietrznego, przypominającego nam najdokładniej motyla. Balon ten składa się z rusztowania w formie cygara, wewnątrz którego znajduje się motor o sile 50 koni i miejsce dla kierownika. Cygaro to wspiera się na dwóch kołach, z których jedno znajduje się pośrodku, drugie zaś umieszczone jest w tyle. Do utrzymania równowagi służą dwa skrzydła, również zaopatrzone na końcach w koła.

Przed wzlotem balon ten musi naprzód przez chwil kilka toczyć się po ziemi, opierając się na trzech kołach, dwóch środkowych i jednem bocz-



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Balon-motyl: Najnowszy balon, zbudowany przez Roberta Esnault-Pelterie przed wzlotem, toczący się po ziemi.

nem i dopiero po podniesieniu do góry opuszczonego skrzydła, wzbija się w powietrze nad ziemią.

Próby, jakie wynalazca czynił ze swym balonem w Wersalu wobec arcyksięcia Leopolda Salvatora, księcia Jaime de Bourbon, hr. de Chardonnet, Jerzego Besançona i wielu zgromadzonych gości udały się znakomicie. Aeroplan, bo tak się nazywa ten balon, wykonywał wszystkie ewolucye nadzwyczaj lekko i pewnie; wzbijał się w powietrze, to znowu toczył się po ziemi, zakreślał koła, a wszystko czynił z jednakową szybkością. Sprawność i doskonałość tego „motyla“ obudziła też powszechne zainteresowanie wśród licznych obecnie pracowników na polu aeronautyki.



Balon-motyl: Balon Esnaulta-Pelterie'a w chwili wzlotu nad ziemię.



Ustąpienie wiceprezydenta: Michał Chyliński, I. wiceprezydent m. Krakowa.

„Kółko rolnicze“ w Przemyślu.

Coraz piękniej rozwijająca się i coraz szersze zataczające kręgi instytucya „Kółek rolniczych“, zdobyła nowy posterunek w Przemyślu. Przed tygodniem zostało tam założone, dzięki inicyatywie gorliwej pracy szeregu energicznych osób, pierwsze w tem mieście „Kółko rolnicze“, a dotychczasowa działalność osób, stojących na czele „Kółka“, oraz skład wydziału dają rękojmię, że nowozałożone „Kółko“ należeć będzie do najżywszych i najruchliwszych.

Na czele przemyskiego „Kółka rolniczego“ stanął ks. kapelan Kotulak, jako przewodniczący, a z nim razem pracować będą w wydziale pp. D, Żelak, Burakowski, Rudzik, Świtalski, Petruk i Podwyszyński.

Działalność swą rozpoczęło „Kółko“ założeniem sklepu, którego poświęcenia dokonał uroczyście ks. infułat Federkiewicz wobec całego wydziału „Kółka“ oraz zaproszonych gości.

Wybuch gazu.

Pomimo poznania i wyzyskania sił przyrody człowiek nie zdołał jeszcze opanować ich do tego stopnia, by usunąć niebezpieczeństwa, jakimi nowe wynalazki zagrażają życiu ludzkiemu. Nieposkromioną taką siłą pozostaje dotychczas gaz, który przez swe wybuchy najczęstsze i najokropniejsze sprawia wypadki.

Niedawno zdarzył się podobny wypadek w Lipsku. W jednym z domów przy Hebelstrasse o godzinie 5-tej po południu z okna drugiego piętra dobyły się nagle gwałtowne płomienie ognia, a w chwil kilka okolicą całą wstrząsnął ogromny huk, od którego w sąsiednich domach powypadały szyby w oknach. Przez chwil kilka miejsce detonacyi pokrywały całe obłoki dymu, po rozproszeniu których oczom ludzkim okazał się przerażający widok. Ściana frontowa na wysokości trzech pięter i mieszkania, znajdujące się tam, były zupełnie zburzone. W gruzach, które zasypały szeroko ulicę, widniało ośm ciał ludzkich, tarzających się w konwulsyjnych drganiach.

Po uprzątnięciu rumowisk rozpoczęło się badanie przyczyn tej katastrofy, pomimo jednak energicznego śledztwa nie można było doszukać się bezpośredniego powodu wybuchu. Przypuszczać tylko należy, iż sami mieszkańcy domu ponoszą winę z powodu nieumiejętnego obchodzenia się z gazem.

Wypadek w Lipsku przypomina żywo dwie katastrofy, które wydarzyły się w ostatnich dniach we Lwowie, a mianowicie w kamienicy przy ulicy Grodzickich, oraz w bursie ruskiej. Zarówno przyczyny wybuchu, jak następstwa były te same; rozmiarami, a przedewszystkiem ilością ofiar przewyższyła wszystkie inne tego rodzaju opisana wyżej katastrofa w Lipsku.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

»Kółko rolnicze« w Przemyślu: Grupa członków »Kółka rolniczego« w Przemyślu, w dniu poświęcenia sklepu.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

17 (Ciąg dalszy).

— Niebezpieczeństwem będzie przenieść go teraz — rzekł do otaczających.

— Pozostanie tutaj, a ja sama nad nim czuwać będę — odpowiedziała Lea.

— Ostrzegam, że ranny potrzebuje zupełnego spokoju, a najlżejsze wzruszenie przyspieszyć może katastrofę.

Młoda kobieta załkała cicho.

— Odwagi! W rękach pani leży jego uzdrowienie — dodał lekarz wskazując na Jerzego, który leżał blady, bez ruchu. Pojmuje mnie pani. Cisza zupełna i spokój są mu koniecznie potrzebne.

— Panie doktorze, ale niema niebezpieczeństwa?

— W tej chwili nie. Powrócę jutro. Proszę mu dawać co dwie godziny przepisane lekarstwo.

— Cóż uczynimy teraz? — zapytał Rigolo po wyjściu lekarza.

— Ty pozostaniesz tutaj — odpowiedział Buvard — z dwoma ludźmi z policyi. Są dobrze uzbrojeni. Gdyby coś nowego zaszło, to mnie uprzedzisz.

Rzeczywiście nie było wykluczonem, aby Brzuchacz nie powrócił tej nocy, by dowiedzieć się, co się stało. Rigolo zwiedził piwnice i strych domu, poleciwszy dwom policyantom strzedz wejścia. Następnie usiadł w pokoju, przylegającym do tego, w którym spoczywał Jerzy. Lea, złamana i smutna, siedziała przy rannym. Upłynęły dwie długie godziny i Jerzy się nie poruszył. Stan odrętwienia i osłabienia trwał dalej. Nareszcie słabo się poruszył i lekki okrzyk wyrwał się z jego piersi. Wzrok jego spoczął na młodej kobiecie.

— Kto pani jesteś? — zapytał.

— To ja, Lea, nie poznajesz mnie, panie hrabio?

— Ah! Lea! Przypominam sobie. Gdzie Helena? Coście z nią zrobili?

Przy tych słowach próbował się zerwać.

— Zaklinam pana, uspokój się; doktór kazał unikać wszelkich wzruszeń.

— Helena! Gdzie jest Helena? — powtarzał rozpaczliwie Jerzy. Oddaj mi ją! Jesteś wspólniczką tych nędzników! O, jakże ciebie nienawidzę!

— Jerzy! Jerzy! Przysięgam ci, że ci Helenę zwrócę.

— Ty wiesz, gdzie ona jest? — zapytał.

— Wiem i zobaczysz ją.

— Spiesz się, czuję, że umieram.

— Nie, nie, ty nie umrzesz!

— Helena! Biedne dziecko! Kto ją uwolni, gdy mnie już nie będzie?

Słowa zamarły na ustach rannego. Sina bladość pokryła twarz, a głowa opadła bezwładnie na poduszkę.

— Umiera! Umiera! — krzyknęła rozpaczliwie Lea. O nędznicy! Odnajdę ja was! Jerzy! Jerzy! Mój Boże!

Rozpaczliwym ruchem objęła nogi rannego.

— Gdybyś ty wiedział, jak cię kocham! — mówiła głosem przerywanym ze wzruszenia. Byłabym twoją niewolnicą, twoją sługą, ale zazdrość zrobiła mnie złą... Jerzy! Słyszysz?... Żałuję... Chcę żebyś żył i był szczęśliwy. Czem jest moje cierpienie wobec pragnienia twojego szczęścia! Ale ty mnie nie odepchniesz? W głębi serca zachowasz dla mnie choćby najmniejszy kącik.

I usta zbladłe przycisnęła do rozpalonego czoła Jerzego.

Jerzy przez tydzień walczył ze śmiercią. Lea nie opuszczała go ani na chwilę. Rigolo i Buvard przez cały ten czas strzegli domu. Teraz zrozumieli, że tylko przy pomocy Lei uda się im pochwycić zbrodniarzy. Rigolo dopiero teraz poznawał jej dziwny charakter i niedyskretnem badaniem nie chciał popsuć sprawy. Lea milczała jeszcze, oddana wyłącznie pielęgnowaniu Jerzego. Ranek dnia ósmego był decydujący. Lekarz miał wyjąć kulę z piersi rannego i nie ukrywał, że operacya ta mogła być bardzo niebezpieczną. Lea przyjęła tę wiadomość spokojnie, była już zanadto wyczerpaną. Zresztą zrodziło się w niej stanowcze postanowienie: ze śmiercią Jerzego skończy się jej życie. Lekarz przybył wczesnym rankiem ze swoim asystentem i prosił Rigola, aby się nie oddalał.

— Niech pani idzie spocząć — rzekł do Lei, widząc bladość jej twarzy.

— O nie — odpowiedziała Lea — czuwam przy nim od ośmiu dni i teraz go nie opuszczę.

— Ale ranny jest bardzo osłabiony i najmniejsze wzruszenie...

— A więc pan o niego się obawia? Dobrze odejdę, czekać będę w przyległym pokoju.

Upłynęła dla Lei straszna godzina. Z gorączkowem napięciem śledziła każdy szmer, dobiegający z sąsiedniego pokoju, gotowa rzucić się tam za pierwszym krzykiem rannego. Nagle zdawało jej się, że przy łóżku chorego zaległa zupełna cisza. Przycięła zębami wargi, by nie wybuchnąć krzykiem. Po chwili podniosła się blada i drżąca. Dobiegł ją cichy jęk Jerzego. Skoczyła do drzwi i spotkała się w progu z Rigolem.

— Jerzy! Jerzy!? — krzyknęła rozpaczliwie.

— Ocalony — rzucił Rigolo.

— Boże! Czy mnie pan nie oszukuje?

— Nie, moje dziecko — rzekł lekarz, który ukazał się za plecami Rigola. Operacya była bardzo ciężka, ale przebieg jest pomyślny.

— Panie, panie! Pozwól mi iść do niego.

— Lękam się, że nie zapanujesz nad swojem wzruszeniem, panno Leo! Zresztą chodźmy, ale proszę o spokój.

Wziął rękę Lei i poprowadził ją do łóżka chorego.

Jerzy leżał bez ruchu ze ściągniętą boleśnie twarzą.

— Jerzy, Jerzy — szepnęła Lea, wyciągając rękę, by ująć dłoń hrabiego.

Lekarz odepchnął ją lekko.

— Czy chcesz go zabić? — zapytał surowo.

— Panie! Oddałabym życie za niego.

— A więc chodź pani i pozwól nam noc tę przy nim przepędzić.

W tydzień później Jerzy został przeniesiony do swojego mieszkania. Lea otrzymała pozwolenie pielęgnowania go dalej. Niebezpieczeństwo minęło, ale stan zdrowia chorego wymagał jeszcze wiele starań i opieki. Gdy po raz pierwszy otworzył przytomniej oczy, spojrzenie jego padło na postać młodej kobiety, siedzącej w cieniu przyćmionej lampy.

— Helena—szepnął ranny z uśmiechem szczęścia.

— Nie, to nie Helena, to ja, Lea — odpowiedziała nachylając się nad nim. Proszę o spokój! Lekarz zabronił mówić.

— Chcę widzieć Helenę.

— Zobaczysz ją pan. Jedynem mojem pragnieniem jest widzieć pana szczęśliwym... przy niej...

— Lea! czy to prawda?

— Ufaj mi... później ci wszystko wytłómaczę...

Jerzy po chwili zapadł w sen lekki. Lea do pomocy w czuwaniu nad Jerzym miała Rigola. Zajmował on pokój, stykający się z sypialnią hrabiego i mógł stamtąd śledzić każdy ruch i słowo Lei. Lea jednak do tej pory nie uczyniła ani jednego kroku, mogącego przyspieszyć rozwiązanie tajemniczej sprawy. Ale Rigolo był cierpliwy i czekał. Każdej nocy około godziny jedenastej opuszczał swój pokój by usiąść przy łóżku rannego. Lecz by dojść do sypialni Jerzego, ajent musiał przejść przez salon, który łączył się z buduarem Lei. Buduar ten był oddzielony od pokoju Jerzego ciężką aksamitną portyerą.

Jednej nocy Rigolo, jak zwykle, udał się do rannego.

Jerzy spał snem ciężkim i spokojnym. Lea siedziała obok łóżka, gotowa na każde jego skinienie. W pokoju panowała cisza i półmrok. Rigolo stał chwilę i widząc, że chory nie potrzebuje jego pomocy, zamierzał już odejść, gdy nagle dobiegł go szmer jakiś. Spojrzał niespokojny. Przez drzwi, ukryte za fotelem, w którym spoczywała Lea, wsuwał się ostrożnie wysoki mężczyzna. Rigolo poznał Brzuchacza i cofnął się za portyerę.

— Ty! ty tutaj — syknęła Lea z błyskawicą gniewu w oczach. Kto ci tu pozwolił przyjść?

— Cicho! nie budźmy lwa uśpionego — zaśmiał się nędznik ironicznie. Stęskniłem się za tobą i przybyłem.

— Czego chcesz?

— W jaki ty sposób mówisz do ojca, Lea? Chcę zanieść wiadomość jaką o tobie nieszczęśliwemu Tournelles i również poinformować go o stanie zdrowia jego rywala! Oh! Tournelles słabe ma oko!

— Gdyby Jerzy nie żył, bylibyście obydwaj dzisiaj w rękach policyi.

— Ho! ho! Więc nie zmieniłaś się w niczem— zawołał drwiąco Brzuchacz, bawiąc się machinalnie rewolwerem, trzymanym w ręce.

— Czyż ukrywałam się kiedy przed wami? Kocham go i nie pozwolę go tknąć.

Brzuchacz wzruszył ramionami.

— Dobrze, ale czas już, żebyś zmądrzała. Rozważ, że nic nie zgotujesz, a dla nas z każdą chwilą rośnie niebezpieczeństwo. Trzymamy od dłuższego czasu jako zakładniczkę młodą dziewczynę i dokąd nas to zaprowadzi. Wyjechać możemy wtedy dopiero, gdy ty wyrzekniesz się hrabiego.

— Jesteś szalony!

— Nie tak bardzo jak sądzisz. Przyszedłem ci powiedzieć, że powziąłem stanowczą decyzyę. Przypatrz mi się dobrze i zobacz, że nie żartuję. Znasz mnie, nieprawdaż? Za 8 dni wyjeżdżamy do Ameryki, za 8 dni opuścisz hrabiego i wyjedziesz z nami.

— Nigdy, nigdy!

— Mamy sposoby, żeby cię zmusić do tego.

— Oh, przerachujecie się. Jeżeli sama nie podołam, użyję cudzej przemocy.

— Co myślisz uczynić? — zapytał Brzuchacz, zbliżając się do Ley.

Przed oczyma młodej kobiety błysnęło ostrze sztyletu.

— Nic, nic — szepnęła z lękiem — pozostawcie mi czas do namysłu.

— Już zapóźno.

— A więc zgadzam się, opuszczę Paryż, ale nie teraz jeszcze. Rana jego zaledwie się zasklepia. Chcę go widzieć zdrowym i spokojnym. W dniu, w którym on będzie ocalony, pójdę za wami. A teraz idź, dom jest strzeżony.

— Jestem spokojny. Bądź zdrowa, w tych dniach przyślę człowieka, który ci wskaże miejsce, gdzie się mamy spotkać.

— Kto to jest?

— Dawny służący hr. de Senneterre. Znasz go. Bądź zdrowa!

Lea, po odejściu Brzuchacza, osunęła się na fotel.

— Nędznicy! — zawołała. Ciągle czyhają na jego życie! Dlaczegóż się waham? To ludzie bez sumienia i litości. Zabiją go, jak zabili tamtych. Boże, Boże, pomóż mi, doradź co robić!

Rigolo w tej chwili wysunął się z za portyery i ukazał się oczom zdumionej Lei.

— Pan tu byłeś? — krzyknęła. Widziałeś go?!

— Tak i nie żałuję tego. Trzeba nam się strzedz, panno Leo!

— Ah! — zawołała kobieta — przecież by nie śmiał!

— Kto wie? On liczy na zwłokę, którą pani wyznaczyła.

— O, gdybym była pewną, że tak jest.

— Przekonasz się pani wcześniej, niż przypuszczasz.

— Panie Rigolo! — zawołała Lea. Pan coś wie! Dano mi ośm dni zwłoki i pan przypuszcza, że...

— Że do tego czasu hrabia nie będzie potrzebował żadnej opieki.

— A więc on mnie oszukał?! Przypuszcza pan, że wróci.

— I to nie sam; służący hr. de Senneterre jest mu oddany.

— A więc on chce walki. Zobaczymy kto zwycięży. Liczę na pana, że się pan stąd nie oddalisz, panie Rigolo. A teraz pożegnam pana, rozmowa z Brzuchaczem wyczerpała mnie.

. . . .

Upłynęło kilka dni bez żadnego wypadku. Rigolo, mimo obietnicy danej Lei, przez kilka dni nie zjawił się w domu hrabiego. Jerzy powracał do zdrowia. Lea korzystała z polepszenia i kilkakrotnie wybiegała do willi Senneterre, by powziąć pewne wiadomości. Brzuchacz się nie zgłaszał. Pewnego ranka Jerzy obudził się silniejszy. Słońce świeciło jasno i przez otwarte okno dochodził śpiew ptasząt i zapach rozkwitłych drzew. Hrabia z wysiłkiem usiadł na łóżku i spojrzał na Leę serdecznie.

— Czuje się pan zdrowszym? — zapytała łagodnie.

— O tak — odpowiedział Jerzy. Byłem bardzo chory, nieprawdaż? A pani nie odstępowała od mojego łoża. Lea! Jakże jesteś dobrą! Jakże cię kochać będziemy teraz oboje, Helena i ja!

— Panie hrabio, przestań!

— Biedna Helena — mówił dalej Jerzy. Co się z nią dzieje? Kiedyż będę mógł opuścić ten pokój i biedz na jej ratunek? Czy widziałaś ją pani, wiesz, co się z nią stało? Boże, może ona nie żyje?! — krzyknął nagle, opadając blady na poduszki.

— Jerzy! Jerzy! Uspokój się! Helena żyje i wkrótce ją zobaczysz.

— Zaręczasz mi?

— Przysięgam.

Jerzy z wybuchem radości przyciągnął młodą kobietę do siebie i ucałował ją w czoło.

— O, błogosławiona bądź za tę chwilę radości! Lea! Moja dobra Lea! Jakżem ci wdzięczny!

W tej chwili rozsunęły się portyery; do pokoju wszedł obcy człowiek i zbliżył się do łóżka z ukłonem. Ubrany był w długi czarny surdut, twarz miał wygoloną, a oczy zasłaniały mu okulary w złotej oprawie.

— Wybacz, panie hrabio, że wchodzę bez meldowania się — rzekł. Doktór Dubois nie może przyjść dzisiaj i polecił mi odwiedzić pana. Jeżeli więc pan hrabia pozwoli, to zbadam stan jego zdrowia.

Jerzy był mocno zdziwiony. Jednakże bez oporu poddał się badaniu.

— Tak, wszystko dobrze — rzekł doktór po chwili. Z polecenia doktora Dubois, proszę panią o chwilę rozmowy — dodał, zwracając się do Lei. Mam podać pani kilka wskazówek, tyczących się dyety chorego.

Lea bez słowa powstała i skierowała się do przyległego pokoju. Tak, nie myliła się w przypuszczeniach. Te nieliczne chwile wystarczyły, by przekonać ją, że to był Brzuchacz.

— Przyszedłem po twoją ostateczną odpowiedź — rzekł Brzuchacz, gdy znaleźli się sami.

— Hrabia jeszcze nie jest zdrów zupełnie — odpowiedziała — nie mogę go jeszcze opuścić.

— Kpisz z nas Lea! Już dosyć tych komedyi...

Nagłym ruchem odsunął portyerę od pokoju chorego i lufę rewolweru wymierzył w skroń Jerzego. Lea skoczyła ku niemu i błyskawicznym ruchem wyrwała mu broń z ręki.

— Nędzniku! wychodź, bo zawołam o pomoc.

— Co na tem zyskasz? — zapytał Brzuchacz z ironią. Zanim ktoś nadbiegnie, hrabia żyć nie będzie, a tego chyba nie pragniesz.

— Czego żądacie?

— Natychmiast pójdziesz za mną, a jutro wyjeżdżamy.

Lea zakryła twarz rękami. Nie był to ruch rezygnacyi. Młoda kobieta zastanawiała się.

— Dobrze, pójdę za wami.

— Nareszcie — zawołał z zadowoleniem Brzuchacz.

Lea zarzuciła na suknię długi płaszcz z kapturem i weszła do pokoju hrabiego.

— Wychodzisz pani? – zapytał hrabia.

— Tak, ale wrócę wkrótce. Spoczywaj pan spokojnie, wszystko jest przygotowane. Może być, że dziś na noc nie wrócę.

— Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko!

Zanim Jerzy mógł przeszkodzić, pochwyciła jego ręce i przycisnęła silnie do ust.

W przedpokoju spotkała się z Rigolem.

— Czy jest co nowego? — zapytał zaniepokojony.

— Cicho, ani słowa — odpowiedziała młoda kobieta, nie zatrzymując się. Jutro bądź pan tutaj koniecznie.

ROZDZIAŁ XXII.

Uwolnienie Heleny.

Rigolo napróżno starał się dowiedzieć, gdzie udała się Lea. Wypytywał służących i nareszcie od Jerzego dowiedział się o przybyciu nowego lekarza. Rigolo odgadł prędko, że to Brzuchacz. Co to więc mogło znaczyć? Gdzie i po co udała się Lea. Młoda kobieta obiecała powrócić i kazała mu czekać.

— A więc czekajmy — szepnął Rigolo z westchnieniem.

Nazajutrz Jerzy otrzymał od lekarza pozwolenie na przejażdżkę powozem.

Powrócił znacznie wzmocniony i weselszy. Rigolo czekał na niego w sypialnym pokoju.

— Czy jest co nowego — zapytał Jerzy.

— Niema nic.

— Boże! Czyżby nas Lea oszukała?

— Zobaczymy, bądźmy jeszcze cierpliwi. Ja nie tracę jeszcze nadziei.

— Co tam? zapytał Jerzy, widząc, że portyery poruszyły się lekko.

Wszedł służący, niosąc list na tacy.

— List dla pana Rigola. Lecz adresowany jest do pana hrabiego.

— Oh! czy nie mówiłem, że należy nam czekać — rzekł ajent po przeczytaniu listu. To od Lei.

List był następującej treści:

„W środę czekać będę w teatrze Renaissance. Mam donieść panu coś ważnego. Przyjdź pan dobrze uzbrojony".

Na dole widniały słowa, skreślone innem pismem:

„Jerzy, mój Jerzy! Nareszcie cię zobaczę! Chwila ta radosna wynagrodzi mi wszystkie moje męki".



Ach nędznico! — zawołała, przyskakując do wylęknionej Heleny — skradłaś papiery!

— To od Heleny — zawołał Jerzy i gwałtownie list do ust swoich przycisnął.

— W środę, a więc pojutrze — rzekł Rigolo.

— Będę panu towarzyszył.

— Pan, panie hrabio! Jesteś jeszcze bardzo osłabiony. Może panu tam grozić gorsze niebezpieczeństwo. Zalecają mi, żebym się dobrze uzbroił.

— Nie staraj się mnie pan przekonać. Tu chodzi o Helenę.

— A więc niech i tak będzie! W środę przyjdę po pana.

Nadszedł dzień niecierpliwie oczekiwany przez Jerzego. Rigolo nie dawał znaku życia. Wieczorem silny niepokój owładnął młodym człowiekiem. O godzinie 9-ej udał się do teatru Renaissance. Sala była już prawie pełna. Przedstawienie się rozpoczęło. W antrakcie Jerzy wybiegł za poszukiwaniem Rigola lub Lei. Napróżno! Nie spotkał nikogo.

Około jedenastej bileter wszedł do loży i podał Jerzemu list.

— Czy pan jest panem Jerzym Beraldim? — zapytał przypatrując mu się uważnie.

— Tak ja.

List zawierał tylko kilka słów:

„O godzinie 12 na ulicy Bondy Nr. 60 czekać będę".

Jerzy o północy stanął na ulicy, wskazanej w liście. Zapalił papierosa i niecierpliwie zaczął przebiegać ulicę. Tłumy rozbawione zalegały chodnik. Nagle Jerzy uczuł, że go ktoś potrącił i równocześnie usłyszał imię swoje, wymówione szeptem. Człowiek jakiś, w którym Jerzy poznał Rigola, przeszedł koło niego w kierunku ul. Sanery. Młody człowiek podążył za nim. Na zakręcie dwóch ulic ajent zatrzymał się.

— Widziałeś pan Leę? — zapytał Jerzy podchodząc.

— Widziałem. Ale nie traćmy czasu. Panna Helena czeka na pana. Chodźmy.

Helena od kilku dni znajdowała się na ulicy Helder. Brzuchacz uznał, że dawniejsze miejsce jej pobytu nie było bezpiecznem. Postanowił więc, rozmówiwszy się przedtem z Romą, umieścić młodą dziewczynę w mieszkaniu hr. Tournelles. Mieszkanie to, położone w najludniejszej prawie dzielnicy Paryża, nie mogło być strzeżone przez policyę, przekonaną, że zbrodniarze ukrywają się w opustoszałych i oddalonych zaułkach. Helena znosiła spokojniej swoją niewolę, od czasu do czasu widywała Leę, z którą mówić mogła o Jerzym. Wiedziała, że nadejdzie dzień, w którym męczarnie jej się skończą, w którym wyjaśni się tajemnica ją otaczająca i że wolna będzie mogła się z Jerzym połączyć. Na usposobienie to jaśniejsze, wpływały bardzo kojące, pełne najlepszej nadziei słowa Lei.

Pewnego wieczora młoda kobieta przyniosła jej radosną wiadomość, że za dwa dni zobaczy hrabiego. Helena rozpłakała się wzruszona, nie wierząc w swoje szczęście. Te dwa dni, dzielące ją od dnia tak upragnionego, zdawały się jej być wiekiem. Ostatnie dwie godziny spędziła we łzach i modlitwie. Nareszcie wybiła godzina dwunasta. Jerzy mógł nadejść lada chwila. Zaniepokoił Helenę szmer, dobiegający z drugiego pokoju. Czy to już Jerzy? A może Lea. Drżąc ze wzruszenia pobiegła do drzwi i spojrzała przez dziurę od klucza.

W pokoju ujrzała Jakóba Mayot! Jakóba Mayot Helena raz tylko widziała, czyniącego Romie ostre i gorzkie wyrzuty. O tem nie wiedziała, kim on był, znała tylko jego nazwisko. Co on tu robił? Z zapaloną świecą chodził po pokoju, szukając czegoś, otwierając szafy i stoliki. Był blady, a oczy jego rzucały niepokojące błyski. Helena widziała niespokojne drżenie jego rąk i słyszała ciężki oddech, podnoszący mu piersi. Czego szukał ten człowiek? Nareszcie zbliżył się do biureczka, prawie ukrytego ciemną firanką, zwieszającą się od okna. Szuflady biurka były zamknięte. Jakób Mayot zaklął półgłosem i za pomocą wytrycha rozsadził zamek. Nagle krzyk dzikiej radości wybiegł z jego piersi. Z pomiędzy papierów, zalegających szufladę, wyciągnął małą skrzyneczkę. Schował papiery do kieszeni i nie zwracając uwagi na nieład, pozostawiony w pokoju, skierował się ku drzwiom.

Helenę scena ta niezwykła zmięszała i zaniepokoiła. Lecz zaledwie oprzytomniała trochę z doznanego wzruszenia, gdy do pokoju weszła Roma.

— Co pani jest? — zapytała widząc bladość Heleny. Wydajesz się być zmięszaną. Czy był tu kto?

— Któż mógł tu przyjść — odpowiedziała smutno młoda dziewczyna. Jestem jak zwykle zdenerwowana i osłabiona.

Roma patrzała chwilę przenikliwie na Helenę, poczem udała się do drugiego pokoju.

Lecz zaledwie postąpiła kilka kroków, gdy okrzyk wściekłości wyrwał się z jej piersi.

— Ah! nędznico! — zawołała przyskakując do wylęknionej Heleny. Skradłaś papiery, które były w tej skrzynce zamknięte. Mów, z czyjego to rozkazu uczyniłaś?!

(Dokończenie nastąpi).

Skon b. dyrektora Kasy Oszczędności.

W sędziwym wieku rozstał się z tym światem ś. p. Franciszek Slęk, postać w całym Krakowie powszechnie znana i otaczana wielkiem poważaniem. Zdobył on sobie tę popularność i to poważanie działalnością swoją na stanowisku dyrektora krakowskiej Kasy Oszczędności, które objął w r. 1873 a złożył po 30-letniej, pełnej poświęcenia i trudów pracy w 1903 r.



Skon b. dyrektora Kasy Oszczędności: Ś p. Franciszek Slęk.

Ur. 1834 r. w Kańczudze, studyował we Lwowie na uniwersytecie prawo, poczem wstąpił do krakowskiej Kasy Oszczędności i tu odznaczywszy się zaraz na wstępie wybitnemi zdolnościami i wielką pracowitością, dosłużył się szybko uznania i awansu. To też już po 7-letniej pracy powołany został na stanowisko dyrektora tej instytucyi, zwłaszcza że w pamiętnym ówczesnym krachu giełdowym położył około jej rozwoju niepomierne zasługi.

Pod rządami jego Kasa krakowska rozwinęła się niezmiernie szybko i dziś należy do najpoważniejszych instytucyi finansowych, obracających milionami. Sam fundusz rezerwowy przekroczył w tym okresie sumę 3 milionów koron, a na cele użyteczności publicznej i dobroczynności wydano przeszło półtora miliona.

Doniosłą zasługą śp. dyr. Slęka jest założenie przy Kasie Oszczędności zakładu zastawniczego, będącego wielkiem dobrodziejstwem dla ludności ubogiej, oraz założenie kasy zaliczkowej dla kredytu osobistego drobnych kupców i przemysłowców.

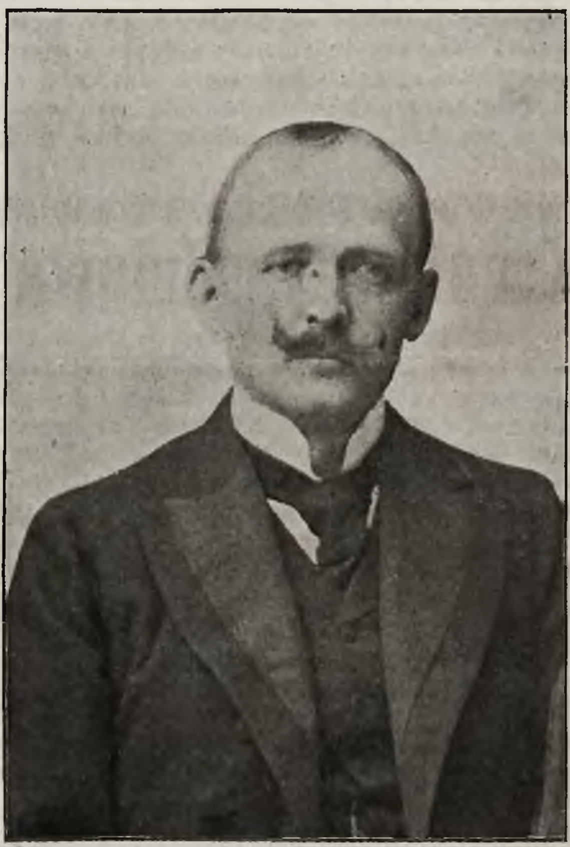
Każdą reformę, każdy postęp instytucyi, opierał zmarły dyrektor na rzeczywistym jej rozwoju, a oceniając znakomicie znaczenie Kasy, jako instytucyi humanitarnej, umiał łączyć daleko idącą ostrożność w sprawowaniu interesów Kasy, ze spełnianiem zadań publiczno-społecznego znaczenia, w czem pomocą wielką był mu dyr. Kowalski.

To też działalnością swą na tem stanowisku wzniósł sobie śp. dyr. Slęk pomnik trwały, oparty na fundamencie rzeczywistej zasługi. Pozostawił po sobie pamięć jak najlepszą, która będzie dla jego następców wskaźnikiem w ich działalności około dobra tak przezeń ukochanej instytucyi.

Polak w najwyższej radzie sanitarnej.

Z powodu śmierci profesora Jordana, zawakowało w najwyższej Radzie sanitarnej w Wiedniu jedno miejsce. Rząd centralny, przyzwyczajony do lekceważenia żądań polskich, zwlekał przez kilka miesięcy z obsadzeniem tego ważnego posterunku, chcąc na stanowisko to mianować Niemca. W ostatnich czasach dochodziły nawet z Wiednia niepomyślne w tej mierze wieści, dzięki jednak prasie polskiej, która ciągle przypominała o tym zagrożonym posterunku i Kołu polskiemu, minister spraw wewnętrznych zamianował profesora uniwersytetu w Krakowie, dra Kazimierza Kostaneckiego, zwyczajnym członkiem najwyższej Rady sanitarnej na czas funkcyonowania tej Rady.

Nominacyę tę ogół polski przyjął z powszechnem uznaniem. Profesor Kostanecki, którego sława naukowa rozciąga się szeroko poza granice Krakowa, daje wszelkie rękojmie, iż skutecznie i wytrwale będzie stawał w obronie urządzeń sanitarnych w Galicyi. Urodzony 1863 roku w Królestwie Polskiem, doktorat medycyny zdobył w Berlinie, gdzie następnie pełnił urząd asysenta zakładu anatomicznego, poczem przeniósł się na studya do Wrocławia, bawił przez rok w Giessen, wreszcie w roku 1898 został mianowany profesorem anatomii na uniwersytecie krakowskim. Przez kilkanaście lat pobytu w Krakowie prof. Kostanecki zjednał sobie powszechne poważanie i miłość swych uczniów. Znana jego energia każe się spodziewać, iż interesa sanitarne Galicyi znajdą w nim dzielnego obrońcę.



Polak w najwyższej radzie sanitarnej: Dr. Kazimierz Kostanecki.

Najmniejszy parlament w świecie.

W pośrodku niebosiężnych Pirenejów, na pograniczu między Hiszpanią a Francyą, leży państewko Andora, chłopsko-pasterska rzeczpospolita, rozciągająca się na powierzchni około 450 klm.², a licząca zaledwie 6000 mieszkańców. Rzeczpospolita ta zdołała jakimś cudem utrzymać swoją niezależność a podlega jedynie protektoratowi Francyi i opłaca Hiszpanii i Francyi pewien nieznaczny czynsz roczny.

Andora ma zresztą zupełnie samoistną organi-



Najmniejszy parlament w świecie: Nowy regent Andory, biskup dr. Don Juan Benlloch, w otoczeniu członków parlamentu.



Najmniejszy parlament w świecie: Gmach parlamentu w Andorze.

zacyę polityczną, wojskową, sądową i handlową, opartą na zasadach na wskroś demokratycznych. Rządy sprawuje w niej rada, złożona z 24 członków, obierająca dożywotniego syndyka, oraz konsulów.

Tytuł regenta ma każdorazowy biskup hiszpański z Urgel.

Właśnie niedawno odbyła się w Andorze uroczystość inauguracyjna nowego biskupa i regenta rzeczpospolitej, ks. dr. Don Juana Benllocha, którego na granicy państewka powitała cała ludność, wraz z członkami najmniejszego w świecie parlamentu.

Kronika tygodniowa.

O czem tu pisać w Krakowie, kiedy w ubiegłym tygodniu nie okradziono braci Eibenschützów, ani nie zaszedł żaden wypadek, któryby doniosłością swoją dorównał tej kradzieży. Co prawda trudno żądać, aby w każdym tygodniu Kraków stwierdzał swą wielkość i europejskość. W każdym razie mogło się coś więcej stać nad to, że podwyższono cenę miejskiego węgla i kosztem gminy pochowano nieszczęśliwego Budę. A prawda—było jeszcze gwizdanie w teatrze na „Mściciela“ pana Germana. Fakt rzeczywiście wyjątkowy, pozwalający mi przypuszczać, że utwór p. Germana nie jest tuzinkowy. Zastrzegam się, że nie staję w jego obronie, bo go nie znam, ale zważywszy, że i najnędzniejsze miernoty, wystawiane w teatrze, spotykają się z oklaskami i uznaniem krytyki, przyjęcie, jakie spotkało „Mściciela“, mimowoli rodzi podejrzenie, czy przypadkiem niema on wartości.

W braku sensacyj miejscowych (niepowodzenie „Mściciela“ obchodzi tylko garstkę premierowej publiczności) zajmowaliśmy się wesołą komedyą naddunajską, w której główne role objęli pp. Dzieduszycki, Abrahamowicz, Głąbiński itd. I tu pokazało się, jak nie można wierzyć historykom. Taki pan historyk pisze o tem, co się stało przed stu, dwustu, trzystu laty, a nawet przed dwoma tysiącami lat i z powagą, wielką pewnością siebie, sądzi ludzi i wypadki, rozdaje nagrody za cnotę i wymierza kary za zbrodnie, wie wszystko szczegółowo jak było, co było, kiedy było i dlaczego było, wnika w głąb duszy bohaterów dziejowych dramatów, wie co myśleli, do czego dążyli — po prostu niema dla niego żadnej tajemnicy. I my temu wszystkiemu wierzymy, choć się przekonywamy, że o tem, co się w oczach naszych dzieje, nic pewnego, a nawet zbliżonego do prawdy, nie wiemy. Kochany czytelniku, uderz się w piersi i powiedz, czy wiesz: jak to było ze sprawą ruską w Kole polskiem? czy wiesz, kto tu zawinił? czy wiesz choćby tyle: jaką w tej sprawie rolę odegrał poseł Głąbiński? Jeżeli czytujesz jeden tylko dziennik, to zawołasz: „wiem wszystko wybornie, najszczegółowiej“, — ale lector unius libri głosu tu niema. Kto jeden dziennik czyta, ten wie tylko tyle, co mu redakcya owego dziennika uzna podać za stosowne, a ponieważ każda jest stronnicza, bo reprezentuje stronnictwo, przeto czytelnik dowiaduje się połowy, ćwierci, może jednej dziesiątej prawdy, a może tylko samej nieprawdy. Szczęśliwy jednak, bo nie czytając nic innego, wierzy w to czarne, które widzi na białem. Ale kto przegląda kilka dzienników, ten dopiero ma kłopot, jak wyszukać prawdę. Bo ona jest, tylko gdzie? I tu szczypta i tam źdźiebło, i tu krzyna i tam kapka — razem zebrać, będzie całość. Tylko jak zebrać, jak te kruszyny prawdy w stercie kłamstwa odróżnić? Wtedy dopiero, kiedy wszystkie dzienniki napiszą jedno i to samo, możesz im uwierzyć, albo wtedy dopiero wzięto cię porządnie „na kawał“.

Otóż mimo, że przeglądam wszystkie dzienniki, jestem jak „tabaka w rogu“ w sprawie stosunku prezydyum Koła polskiego do koncesyj ruskich. Tylko namiętność, z jaką uderzają na siebie bracia dziennikarze, tylko te wprost sprzeczne relacye, te zaklinania się każdego dziennika na wszystkie świętości, że on tylko sprzedaje autentyczną prawdę, a te naprzeciwko handlują fałszem — każą mi się domyślać, że tu idzie nie o rzecz, lecz o osoby, że po prostu było potrzeba kogoś usunąć, a kogoś posunąć, bo wszakże na tem polega zawsze nasza polityka. Że się nie mylę, dowód już jest: Ekscelencya Dzieduszycki zejdzie z fotelu ministeryalnego (nie złoży „teki“, bo był „bez teki“), a Ekscelencya Abrahamowicz już nawet opuścił stolec prezesowski Koła polskiego. Może, zanim tej kroniki dokończę, będę już wiedział, w kim teraz kraj ma pokładać swoje nadzieje.

Zresztą ta „wymiana mózgów“, jak to nazwano we Lwowie, jest w Wiedniu teraz epidemiczna. Już pięciu ministrów przestało być ministrami, a jeszcze dwaj (Dzieduszycki i minister obrony krajowej) pakują swe rzeczy i gotują się do drogi. Siedm wymian mózgowych z powodu jednej ugody, to dosyć. I to nie byle wymiany! Dziennikarza i adwokata Pacaka np. zastąpił trębacz Praschek; tamten był niegdyś skazany na pięć lat jako patryota za zdradę stanu i trzy lata odsiedział, a ten przez pięć lat był agitatorem kastowym; tamten skończył uniwersytet, a ten szkołę ludową, ale tamten nie służył w wojsku, a ten dosłużył się stopnia kaprala „bei 31 Infant. Regimente“. Wymiana mózgu, jak widzimy, poważna i wiele obiecująca. To też podobno JE. Dzieduszycki miał zauważyć: „Das Gabinet ist reconstruirt, aber nicht... gebildet“.

Natomiast jest duży. 13 ministrów jeszcze nigdy Austrya nie miała, a mało które państwo może się poszczycić taką ich ilością. Bodaj nawet czy jest takie. Niepokoi mnie tylko feralna liczba 13. Na gwałt trzeba czternastego ministra. Mam nadzieję, że przyjdzie go łatwo znaleść, bo dziś na szczęście pełno jest ludzi, zdolnych do poświęcenia się dla dobra państwa lub narodu.

Dobrze, że jeszcze kobiety nie mają praw wyborczych. Wówczas każde ministeryum musiałoby się składać przynajmniej z 25 członków i członczyc. Wyobrażam sobie ówczesne walki o fotele ministeryalne, te intryżki i ploteczki, poprzedzające każdą „wymianę móżdżków“. Byłoby wesoło.

Zresztą przeciwnikiem emancypacyi niewiast, jak to już nieraz na tem miejscu miałem zaszczyt oświadczyć, bynajmniej nie jestem. Z każdym dniem znikają moje pod tym względem uprzedzenia. Stało się to zwłaszcza w dniach ostatnich, dzięki części ilustracyjnej „Nowości“. Kto widział portret adwokata panny Miropolskiej i portret inżyniera panny Cecylii Butticaz (w ostatnim numerze) ten przyzna, że jest olbrzymia różnica między temi najnowszemi emancypantkami, a emancypantkami dawnej daty. Dawniejsze przypominały strachy na wróble, a te najnowsze... proszę siadać! Przed dawniejszemi dyabeł uciekałby jak od Twardowskiej, a tym dzisiejszym kto wie, czyby nie dał się ochrzcić. Czy taki adwokat lub inżynier będzie dobrą żoną, odgadnąć trudno, ale że mu łatwo przyjdzie znaleść męża, to zrozumieć łatwo. Pytanie tylko czy wdowcom po paniach inżynierach, jeżeli będą urzędnikami, jakoteż po paniach sędziach, paniach profesorach itd. rząd przyzna emeryturę. Słuszność kazałaby jej nie odmawiać. Cóż uczyni bowiem wdowiec z ośmiorgiem dzieci, jeżeli żona-inżynier, lub żona sędzia nie pozostawi mu środków do życia?

Zdaje się, że tyle conajmniej dzieci będzie miał następca tronu niemieckiego. Ale ten przynajmniej ma zapewnioną dobrą posadę. Przypuszczenie moje co do ilości „błogosławieństwa“ tego pana opieram na tem, że dopiero dwa lata temu się ożenił, a już do drugiego syna sprowadza mamkę z Meklemburgii. To spełnianie obowiązków dobrze wróży o przyszłym władcy Niemiec.

I dzisiejszy władca ma szczęście. Oto uniwersytet oxfordzki przyznał mu doktorat prawa. Z tego powodu jakiś dziennik zwrócił uwagę, że właściwszy byłby dla niego doktorat filozofii lub sztuk pięknych, bo na tych polach się odznaczył. Nie podzielam tego zdania. Jako filozof, poeta, malarz, muzyk, byłby doktor oxfordzki bądźcobądź dyletantem, a na polu prawa epokowe pozostawia dzieła. Dość wspomnieć o kodeksie praw antipolskich.

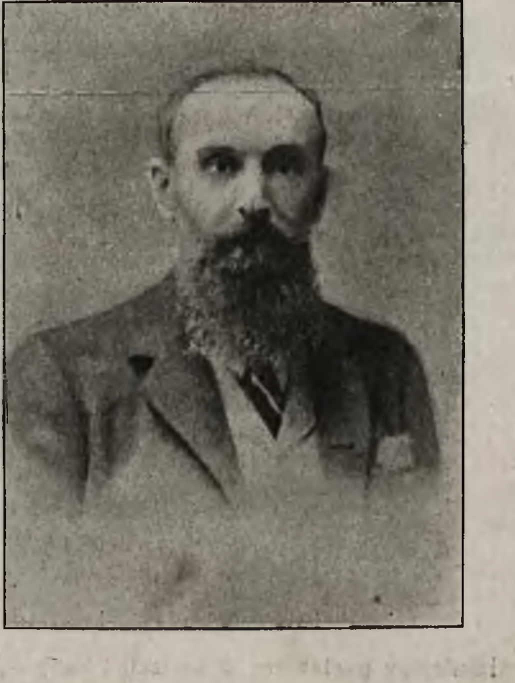
Smutną wiadomością dzielę się z czytelnikami. Oto ze wszystkich stron dochodzą wieści, że pieniądze podrożały. Wszędzie użalają się na „brak gotówki“. Mam przynajmniej moralne zadowolenie, bo to, co dziś wszyscy widzą, ja już dawno zauważyłem i nieraz, nawet na tem miejscu, wspominałem o dającym się przykro odczuwać braku gotówki. Co zaś do tego, że pieniądze „podrożały“, to znam takich, którzy, kiedy były nawet one tanie, dokupić się ich nie mogli. A ponieważ takich jest olbrzymia większość, więc mają oni przynajmniej tę satysfakcyę, że ich los zaczynają podzielać i ci, którym brakowało niejednokrotnie rozumu, uczciwości, wstydu, honoru, dobrego serca i innych podobnych drobiazgów, ale nie brakowało nigdy gotówki.

A propos braku dowiedzieliśmy się niedawno, że nie jest ubliżeniem zarzucić komuś „brak piątej klepki“. Jakiemuś panu T. uczyniła ten zarzut warszawska Gazeta Codzienna, gdy go przy tej czy innej sposobności nazwała „Filipem z konopi“. Pan T. czuł się obrażony i zaskarżył redaktora Gazety, posła Dmowskiego. Ponieważ sprawę sądził trybunał rosyjski, więc wezwano znawcę języka polskiego w osobie p. Wł. Jabłonowskiego, który na podstawie źródeł naukowych udowodnił, że oba te wyrażenia nie zawierają obrazy. Wobec tego sąd uwolnił posła Dmowskiego, a pan T. pocieszyć się może, że go nie obrażono, choć mu sądownie nie przyznano tytuł „Filipa z konopi“ i braku piątej klepki.

Wiedząc teraz, że to nie obraza i że nikt mnie skarżyć nie może, pozwalam sobie powiedzieć, że niektórym warszawiakom i warszawiankom brak jest piątej klepki. Jak wiadomo za trzecim już nawrotem zbierała grosze w Warszawie Izadora Duncan, wynalazczyni bosych nóg w tańcu. Ta pani czy panna Artemiza Colonna, która się u nas tą sztuką popisywała, jest jej naśladowniczką, ale choć nie gorzej tańczy, ma ładniejsze nogi i cała jest ładniejsza, nie zrobiła u nas wrażenia. Ale co kraj to obyczaj, de gustibus non est disputandum. Warszawa ma gust odmienny. Gdzie Izadora raz tańczyła, tam się więcej nie pokazała, bo miano już jej całkiem dosyć. Do Warszawy jednak, jest nadzieja, przyjedzie jeszcze razy kilka. Pierwszy raz była w czasach przedkonstytucyjnych i waryowali wówczas za nią literaci i artyści. Za drugim razem w czasach konstytucyjnych i „szeroko-autonomicznych“ oba te gatunki mniej już bzikowały, ale inne osobniki męskie „piątoklepkowały“. Obecnie w czasach poautonomicznych, młode panienki dostały szału duncanowskiego i wyprawiały takie „entuzyazmy“, że nawet Kuryer Warszawski, duncanista pierwszej wody, nazywa to „histeryą w sali koncertowej“. Panienki te całowały po rękach „artystkę“, dobijały się do jej garderoby, kazały jej tańczyć naddatki, obsypywały ją kwiatami, po zagaszeniu elektryczności zmuszały służbę do zapalenia świateł itd. Brak piątej klepki wystąpił imponująco. I cieszy mnie, że pisma warszawskie to stwierdzają. Ale jeżeli te młode i głupie dziewczęta mają ów brak piątoklepkowany, co w ich wieku jeszcze uchodzi, to co będzie z owymi poważnymi przedstawicielami sztuki i literatury? Powiedziałbym, że im brak i trzeciej i czwartej i piątej klepki, ale brak trzech klepek, to już może obraza. Więc nie powiem.

Testament ks. Strozzi'ego.

Przed kilku dniami zmarł we Florencyi Piotr Strozzi, książę Forano i Bagnato, patrycyusz florencki, szlachcic rzymski, senator królestwa włoskiego i szambelan dworu królewskiego. Był on jednym z ostatnich przedstawicieli tego najstarszego rodu włoskiego, który już w XIII. wieku wypłynął na szerszą widownię dziejów Włoch, a potem przez ciąg wieków odgrywał pierwszą rolę w historyi kultury włoskiej. Dzisiaj ród ten wygasa zupełnie, książę Piotr nie zostawił bowiem męskiego potomstwa, jak również dwaj jego bracia. Zmarły książę ożeniony był z hrabianką Zofią Branicką z Białocerkwi, która wniosła mężowi posagu 200 tysięcy franków renty rocznej i jednorazowo dwa miliony franków na spłatę długów i urządzenia pałacu według nowoczesnych wymogów. Tyle pie-



Testament ks. Strozzi'ego: Zmarły książę Piotr Strozzi.

niędzy polskich przepadło za granicą bez pożytku dla kraju. Małżeństwo to jednak nie było szczęśliwe i przed dwoma laty księżna z powodu wielkich wymagań pieniężnych swego męża, opuściła go, wyjeżdżając na stałe do Paryża. Książę Strozzi pozostałby bez grosza w swym pałacu, najpiękniejszym z pałaców całych Włoch, księżna jednak wyznaczyła mężowi 40 tysięcy franków rocznej renty. Teraz książę Strozzi na dwa miesiące przed śmiercią zapisał pałac swój rządowi włoskiemu, a zbiory artystyczne Florencyi, rząd jednak włoski zanim obejmie w posiadanie swe ten legat, musi ułożyć się z wdową co do spłaty jej posagu, zahipotekowanego na pałacu, a nadto ma wypłacać dożywocie matce zmarłego. Ogólna więc suma, jaką rząd winien wydać, by wejść w posiadanie pałacu, wynosi przeszło trzy miliony, t. j. tyle, ile wart jest sam pałac. Darowizna ta jest więc dość kosztowną, a rząd włoski nie okazuje zbytniej radości z takich prezentów.



Skutki amerykańskiego krachu: Tłum zgromadzony przed gmachem giełdy w Nowym Jorku.



Nowe prezydyum Koła polskiego: Dr. Stanisław Głąbiński, nowy prezes Koła polskiego.

Ustąpienie wiceprezydenta.

W łonie prezydyum rady miasta Krakowa nastąpiło przesilenie, a objawem jego stała się rezygnacya p. Michała Chylińskiego z godności I. wiceprezydenta miasta.

Przyczyny tego przesilenia tkwią dość głęboko, a są natury ściśle politycznej. P. Michał Chyliński wszedł razem z prezydentem dr. Leo i II. wiceprezydentem radcą Sarem do prezydyum miasta jako przedstawiciel większości rady, większości konserwatywnej. Tymczasem znana sprawa powszechnych wyborów do Rady państwa, a następnie w wyższym jeszcze stopniu sprawa reformy sejmowej ordynacyi wyborczej, wywołała w łonie tego prezydyum, poprzednio jednomyślnego, poważne różnice w zapatrywaniach. PP. Leo i Sare wystąpili z sejmowego koła posłów krakowskich i przystąpili do lewicy sejmowej, oświadczając się otwarcie i stanowczo za daleko idącą reformą wyborczą do sejmu. Stanowisko to dwu wybitnych członków prezydyum miasta Krakowa nie pozostało bez wpływu na bieg wypadków w łonie rady miejskiej. Konserwatywna część rady nie mogła patrzeć przychylnie na ten zwrot na lewo, a jej jedyny obecnie przedstawiciel p. Chyliński uznał za stosowne złożyć godność I. wiceprezydenta.

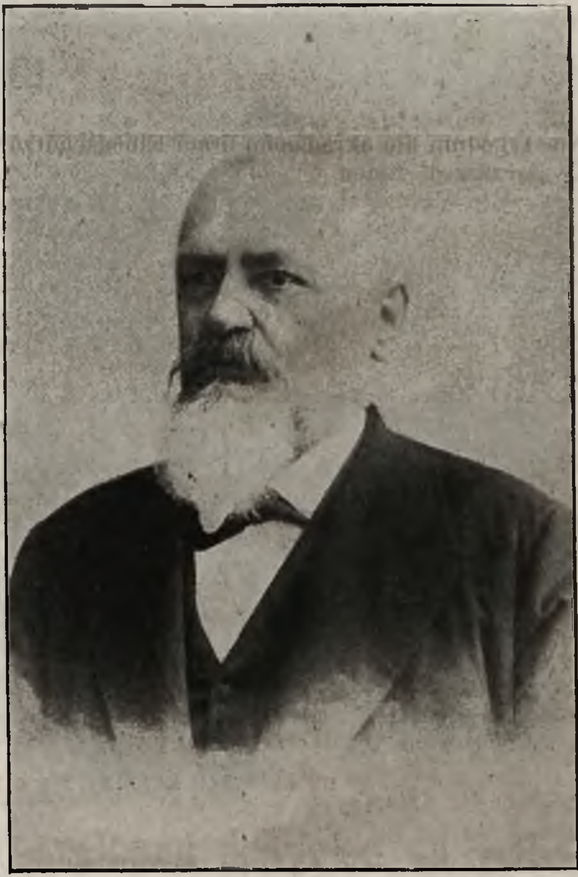
Nie wchodząc tu w ocenę doniosłości tych politycznych zajść, stwierdzić jednak należy, że ustąpienie p. Chylińskiego z jego stanowiska jest niewątpliwą szkodą dla miasta. Nadzwyczajne przywiązanie do Krakowa, głęboka i wszechstronna wiedza, rzadka prawość charakteru, oto zalety, które cechowały tego człowieka i które mu zjednały ogólny mir i poważanie. Ustępując i przenosząc się do Lwowa na stały pobyt, wraca p. Chyliński do tego zawodu, z którym od tylu lat jest związany, tj. do dziennikarstwa, aby objąć naczelną redakcyę „Gazety Lwowskiej" po p. A. Krechowieckim.

Niech nam będzie wolno wyrazić nadzieję, że węzły, jakie łączą b. wiceprezydenta z Krakowem, nie staną się mimo to słabsze, że zachowa on dla tego miasta tę samą co dawniej miłość i przywiązanie, tak samo jak mieszkańcy Krakowa pomni będą długo jeszcze zasług jego i wielkiej pracy.

Nowe prezydyum Koła polskiego.

Duże i powszechne wrażenie wywołała w całem społeczeństwie naszem wiadomość o doniosłych zmianach, jakie nastąpiły na naczelnych, decydujących stanowiskach polskiej delegacyi w parlamencie wiedeńskim. Powszechne głosowanie zmieniło zasadniczo skład tej delegacyi, a miejsca konserwatystów wszelakiego pokroju zajęli demokraci.

Obecnie nadeszła więc pora, by konserwatyści, stanowiący w dzisiejszem Kole polskiem mniejszość, wysnuli konsekwencye z tej sytuacyi i oddali rządy zorganizowanej, skonsolidowanej większości



Krajowy Związek sędziów: St. radca Leopold Hauser, prezes Związku.

demokratycznej, uosabiającej się w „Unii demokratycznej". P. Abrahamowicz złożył też godność prezesa Koła polskiego, a następcą jego wybrany został prawie jednogłośnie prof. dr. Stanisław Głąbiński, jeden z prezesów „Unii", a wiceprezes Koła.

Nowy prezes Koła, jakkolwiek w parlamencie zasiada dopiero od r. 1902, wybrany z miasta Lwowa, należy już dziś do bardzo wybitnych i bardzo zasłużonych dla sprawy narodowej parlamentarzystów. Wierny programowi stronnictwa demokratyczno-narodowego czyli wszechpolskiego, w każdej sprawie, czy to ogólno-państwowej, czy krajowej, czy wreszcie uniwersyteckiej, stawiał na pierwszym planie interes narodowy, podporządko-



Skutki amerykańskiego krachu: Bank oblężony przez spieszącą po swe wkładki publiczność.

wując mu wszelkie inne. Młody, pełen energii i zapału, znakomity mówca, człowiek wielkiej wiedzy i zdolności, będzie dr. Głąbiński niewątpliwie dobrym i odpowiednim przedstawicielem reprezentacyi polskiej we Wiedniu.

I jeśli uda mu się wciągnąć do Koła polskiego grupę ludowców, dziś poza Kołem stojącą, jeśli uda mu się załagodzić choć w części fatalny stosunek polsko-ruski we wschodniej części kraju, to może być pewnym, iż kraj cały będzie nań patrzał nietylko z uznaniem, ale i ze szczerą wdzięcznością.



Psy na usługach handlu: Psy przed wyruszeniem z reklamami na ulice Berlina.

Psy na usługach handlu.

Na nowy sposób reklamowania swych towarów wpadli kupcy angielscy, a w ślad za nimi i handlowcy z Berlina. Dotychczasowe ogłoszenia, umieszczane czy to na szczytach domów, czy też rzucane za pomocą reflektorów elektrycznych na niebo wieczorem, czy też podawane publiczności przez oświetlanie za pomocą różnokolorowych lampek elektrycznych całych fasad domów, nie zwracają już niczyjej uwagi w wielkich miastach. W pogoni za sensacyą reklam, stworzono w ostatnich czasach żywe reklamy i w tym celu użyto psów. I oto mieszkańcy Londynu i Berlina oglądają niezwykłe widowisko. Pomiędzy przechodniami ukazuje się cały szereg dużych psów. Idą wolno „gęsiego“, trzymając się kraju chodników. Na czele kroczy przewodnik w postaci największego i najsprytniejszego psa, który uważa, by towarzysze trzymali się szeregu, nie odbiegali do sklepów na widok kiełbasy i aby wzajemnie się nie wymijali. Spełniają one bowiem ważną misyę. Przed wyruszeniem na miasto przymocowano im do grzbietów najrozmaitsze szyldy z ogłoszeniami towarów. Stały się one w ten sposób przedstawicielami danego kupca, który za pomocą tej żywej reklamy zachwala swoje towary.

Pożar stacyi telefonów w Antwerpii.

W Antwerpii, w jednem z głównych miast Belgii, zdarzył się w początkach bieżącego miesiąca wypadek, który przez czas pewien zagrażał wielkiem niebezpieczeństwem wszystkim mieszkańcom. O godzinie pierwszej w nocy z niewiadomych przyczyn wybuchł w wielkim gmachu centralnego zarządu telefonów gwałtowny pożar. W chwili tej oprócz dyżurnych telefonistek nie było w budynku prawie nikogo, sporo też czasu upłynęło, zanim spostrzeżono płomienie. Na wszczęty alarm za pomocą telefonu nadjechały wszystkie oddziały straży pożarnej, niestety, nie było już co ratować. Pożar niezwykle szybko objął swymi płomiennymi językami cały gmach, tak iż z trudem tylko zdołano uratować telefonistki z biura.

Niezwykłe trudności przedstawiało ugaszenie ognia na wyższych kondygnacyach budynku, zwłaszcza na wieży, na której wznosi się potężne rusztowanie dla drutów telegraficznych i telefonicznych. Zawalenie się tego kolosu żelaznego mogło sprowadzić nieobliczone w następstwach nieszczęście. W końcu pożar umiejscowiono, z całego jednak potężnego gmachu pozostały tylko żelazne rusztowania i kamienne ściany. Szkody, poniesione przez zarząd telefonów, obliczają na kilka milionów franków.

Skutki amerykańskiego krachu.

Obecnie dopiero przedstawiają się w całej pełni skutki olbrzymiego krachu trustowego w Ameryce, o którym pisaliśmy już poprzednio. Jak wielkie kapitały zagrożone były w tym kryzysie finansowym, możemy wywnioskować z kolosalnych sum depozytów złożonych w bankach, które najbardziej ucierpiały na runie. Ogólna suma kapitałów zagrożonych krachem, wynosiła 19 milionów koron, nic też dziwnego, że na pierwszą wieść o tem przesileniu dziesiątki tysięcy osób poczęły szturmować do kas bankowych, by odebrać swe wkładki. W przeciągu kilku dni w samym Nowym Jorku wycofano przeszło miliard koron z banków, następstwem czego było zupełne ogołocenie targów handlowych z gotówki.

Obecnie panika, wywołana tem przesileniem pieniężnem, przycicha zwolna, handel amerykański będzie jednak przez długie jeszcze lata goił się z ran, otrzymanych w walce swoich miliarderów.

Z lwowskiego bruku.

(Run na Kasę oszczędności. — Groźne położenie rzeźników. — Pomnik Słowackiego przed teatrem i jego przyszłe koleje. — Dwa koncerty. — Sorga. — Szczyt blagi. — Koncert Friedmana. — Ich czworo. — Wygwizdanie Germana).

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu krótki run na galicyjską Kasę oszczędności i każdy, kto miał choćby pięć koron w tej poważnej instytucyi, poleciał odebrać swoją gotówkę w obawie, że mu Kasa zbankrutuje. Kasa wyszła z tego runu zwycięsko, bo każdemu wypłaciła wkładkę, a na dyskoncie zarobiła podobno grubą sumę. Zaraz po runie wszyscy, przekonawszy się, że Kasa ma gotówkę, napowrót ulokowali tam swoje wkładki i na tem skończyła się cała heca, która zapowiadała się dość groźnie.

Jeszcze groźniej, ale to już tylko dla rzeźników, zapowiadała się nowa akcya rady miejskiej, mająca na celu wprowadzenie taniego mięsa prowincyonalnego. Radny Mokrzycki, reprezentant rzeźników w lwowskiej radzie miejskiej, przestrzegał radę przed tą lekkomyślnością, która może zniszczyć 600 rodzin rzeźnickich i sprowadzić na nich zupełną ruinę materyalną. Dobro rzeźników leżało nam zawsze na sercu, a Rada chyba otaczała ich i dalej otacza ojcowską opieką, więc zabolała wszystkich ta groźba p. Mokrzyckiego i jest poważna nadzieja, że magistrat w wykonaniu uchwały rady jeszcze dobrze zastanowi się nad tem, czy godzi się „niszczyć“ rzeźników lwowskich przez wprowadzenie taniego mięsa i, jak wiele poprzednich, tak i dzisiejsza uchwała rady czekać będzie na wykonanie bardzo długo.

Jeszcze dłużej, zdaje się, poczeka na wykonanie uchwały p. Juliusz Słowacki, któremu artyści teatru miejskiego uchwalili wystawić pomnik przed budynkiem teatralnym, na wniosek samego dyrektora Hellera. Pan Heller przeznaczył na ten cel 360 koron jako należną tantyemę za wystawienie „Lilli Wenedy“ i przyrzekł płacić dalszą tantyemę do tego funduszu. Ze strony dyr. Hellera jestto samo już pięknem, że on pierwszy podniósł myśl wystawienia pomnika wielkiemu poecie i absolutnie należy tę myśl pochwalić. Ale fundament do tego pomnika, złożony z 360 koron, jest tak nieznacznym, a widoki — tantyemy późniejsze — tak słabe wobec stałego ignorowania dramatów Słowackiego ze strony lwowskiej publiki, że należy się obawiać, iż cała ta zacna myśl będzie tylko zwykłym fajerwerkiem. A trzeba pamiętać, że pomnik ma stanąć w r. 1909, a więc już prawie za rok. W tym roku mają artyści zebrać resztę... kilkadziesiąt tysięcy koron. Bo chyba wystawi się Słowackiemu pomnik a nie pomniczek. A w taką ofiarność lwowskiego społeczeństwa ja nie wierzę. Choćby nawet nastawiła cudną łapkę sama pani Bohuss, Miłowska, Bednarzewska, Trapszo, albo właścicielka najpiękniejszych rączek, panna Ciapcia.

Kapnie tam coś, więcej albo mniej, ale nie kilkadziesiąt tysięcy, choćby koron...

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu dwa interesujące koncerty: jeden w Filharmonii, drugi w domu narodnym. W Filharmonii wystąpiła jakaś zagadkowa „Sorga“, podobno księżna indyjska, czy coś takiego. Tak przynajmniej pisze sam zarząd Filharmonii, a ten znany już jest z tego, że w brednaich jest h o r s c o n c o u r s. Są blagierzy — powiedział jakiś dowcipniś — u których wie się przynajmniej, że prawdą jest przeciwieństwo tego, co mówią. Jeśli powie, że białe, to można wierzyć że czarne. Ale lwowska Filharmonia należy do tych nałogowych blagierów, u których nawet przeciwieństwo tego, co mówią, nie jest prawdziwem. A więc nie wiemy, czy to księżna, czy indyjska, czy Sorga, czy kobieta, nic nie wiemy. Na koncercie było rozpaczliwie mało publiczności, bo we Lwowie już nikt do Filharmonii nie chodzi. A ta Sorga była przypadkowo wcale miłą kobiecią i nic więcej, śpiewa dość miernie, ma mało odwagi... no, co do tego, to może właściwie trzeba jej przypisać wiele odwagi, skoro zajechała do Filharmonii.

Jeszcze więcej odwagi okazał p. Friedmann Wilhelm czy Adolf, który wystąpił w Domu narodnym z koncertem, mianowicie z w i e l k i m koncertem, bo u nas teraz każdy koncert jest wielkim, choćby sam koncertant był bardzo małym. W tym wypadku trudno było nietylko usprawiedliwić przymiotnik koncertu „wielki“, ale samo nazwanie tego spektaklu „koncertem“. P. Friedmann miał... pełną salę. Pierwszy raz wystąpił we Lwowie, a salę miał pełną, bo jego nazwisko brzmi trochę po lwowsku, a trochę przypomina nazwisko Ignacego Friedmanna. Czem innem trudno sobie tłómaczyć tę pełną salę. Bo p. Friedmann ma wszystko, czego śpiewakowi nie trzeba, a niema nic z tego, bez czego dobry śpiewak istnieć nie może. Już nie raziłoby nas tylko to, że niema postawy i zgoła żadnych warunków zewnętrznych, że ma głos tylko chwilami i miejscami niezły — do tego wszystkiego jesteśmy już we Lwowie od pewnego czasu przyzwyczajeni. Ale p. Friedmann tak się na scenie zachowuje, że dyrektorzy Bristolu, Colosseum albo Olimpii nie zgodziliby się na takie niekoncertowe ekstrawagancye na swoich scenach. Można być tenorem, ale nie musi się być kiepskim tenorem.

Dramat Zapolskiej „Ich czworo“, o którym napiszę parę słów później, podobał się publiczności lwowskiej bardzo.

Żywe współczucie wywarła tu wiadomość, że naszego Germana w waszym teatrze za jego dramat wygwizdano, pomimo że wystawiało go aż dwóch dyrektorów i kilku reżyserów. Ale wystawa wystawą, a gwizdanie gwizdaniem. Bo — jak powiada pewien zły człowiek — strasznem jest, gdy kobieta chce się uderzyć w piersi i niema się w co uderzyć... *Kl.*

Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

I.

Pogromcą i postrachem wszelkiego rodzaju zbrodniarzy był George Gutmann, zwany pospolicie: George International. W Londynie się urodził, w Londynie mieszkał, a z niemieckiej pochodził rodziny, jakoś od lat stu osiadłej w Anglii. Jego ojciec spędził życie w usługach tajnej policyi angielskiej, a on poszedł śladem ojca i zyskał sobie szeroką sławę. Zrazu był urzędnikiem w policyi londyńskiej, lecz po kilkunastu latach porzucił służbę rządową i na własną rękę zaczął pracę policyjną. W krótkim czasie nabrał takiego rozgłosu, takiej wziętości, że go wzywano z Londynu na stały ląd europejski, skoro trzeba było wyśledzić sprawy zawiłe, trudne, niekiedy wprost tajemnicze dla władz policyjnych. George miał spryt, przenikliwość, śmiałość tak niepospolite, że wyśledził wszystko.

Jakiemuś milionerowi wyrwał z paszczy złodziejskiej pół miliona funtów szterlingów, za co wdzięczny milioner dał mu trzydzieści tysięcy funtów. Piękny majątek, boć to przeszło pół miliona koron, więc mógł sobie George odpocząć, żyć spokojnie i bezpiecznie. Ale gdzie tam? on był detektywem z zamiłowania, nie dla chleba. Uprawiał swój zawód, jak artysta, a nie zarobnik.

Zbudował sobie w Londynie piękną willę pośród ogrodów, urządził się w niej wcale zbytkownie i rozkoszował się miłą sielanką zacisznego życia, ile razy miał czas i mógł przebywać w domu. Ale przebywał w nim właściwie niewiele, bo zaledwie ukończył jaką sprawę i wrócił do domu, już w jakie trzy lub cztery dni powoływano go w różne strony świata.

Był to człek nawskróś poczciwy, sumienny, pełen poczucia sprawiedliwości; oburzała go wszelka nieprawość, zbrodni i zbrodniarzy nienawidził i z namiętną zawziętością ich ścigał. Szanowano go wielce jako człowieka, ceniono jako detektywa.

Syn jego, Fredzio, zaprawiał się do zawodu ojca, także z zamiłowania. Tworzyła się dynastya Gutmannów w zawodzie policyjnym.

Tysiące ludzi błogosławiło pana George'a, tylko żona zawsze na niego narzekała. A, ot i teraz właśnie popadła w zły humor, bo George wybiera się znowu na jakąś sprawę i to jeszcze ze synem.

— A, jużbyś też mógł posiedzieć w domu, bodaj z miesiąc.

— Oho! już Wiktusia się gniewa.

— Nie gniewam się, ale mi przykro, że bardziej kochasz gonitwy za złodziejami, niż żonę i dzieci.

— A cóżbym ja robił innego?

— Jakto co? Zawsze tem mnie zbywasz. Mamy, dzięki Bogu, majątek, możemy żyć spokojnie, wychowywać dzieci i...

— I jeść, spać; spać i jeść, czasem ziewać dla odmiany.

— Ej, tysiące ludzi żyją spokojnie, gdy mają z czego, a nie ziewają z nudów.

— Wiktusiu, Wiktusieńko! nie gniewaj się, jeszcze tylko raz, jeszcze raz. To taka ciekawa sprawa, o! jaka ciekawa.

— A pocóż Fredzia zabierasz?

— A! widzisz, moja droga, on mi będzie potrzebny. Ty się tu pocieszaj tymczasem Edziem, Zosią, Jasiem i Marynią. Masz dwie pary w domu, czegóż więcej? Ja tylko jednego biorę ze sobą.

— Ty tak będziesz wojował z tymi złodziejami, aż cię gdzie pokaleczą, albo i zabiją.

— E, e, nie tak to łatwo. Wiktusiu, nie lękaj się o mnie. Przypomnij no sobie, jak mnie raz trzech drabów opadło, a wszystkim dałem radę.

Istotnie — George był mężczyzną wysokiego wzrostu, pokaźnie zbudowanym; siłę miał olbrzymią i mógł też z łatwością dać sobie radę z trzema napastnikami. A i syn odziedziczył siłę ojca, choć wzrostem mu nie dorównał i wygląd miał wątły.

Piękny to był chłopiec. Minęło mu już lat dwadzieścia cztery, a twarz miał prawie chłopięcą, a nawet niewieścią. Podobniuteńki do matki, toć jej oczko w głowie. Ot i teraz spoziera nań matka lękliwie, że jedzie na jakąś niebezpieczną wyprawę, a miłościwie i z dumą, że taki dobry, a taki urodziwy.

— Żebyś choć Fredzia zostawił! Ja się o niego bardzo boję, bo miałam niedobre sny.

Uśmiechnął się George, a i Fredzio zaczął żartować, ale matka zgniewała się już naprawdę.

— Po co to tłuc się po świecie? po to policya rządowa, żeby śledziła zbrodniarzy. Po co się wysługiwać całemu światu? To do Francyi, to do Niemiec, to nawet do Włoch gonisz i tracisz zdrowie. Krzywda dla mnie i dla dzieci.

— Ależ Wiktusiu kochana, nie marudź. Człowiek tyle wart, ile jest ludzkości użytecznym. A chyba to pożyteczne światu, gdy się tropi niegodziwców, co krzywdą ludzką się pasą, gdy się chroni uczciwych przed zamachami zbrodniarzy. Chronić uczciwych od złego, tępić zbrodnię, to przecież i pożyteczne dla drugich i miłe dla siebie samego.

— Ucałuj mateczko ojca — rzekł Fredzio — a i mnie także i bądź spokojna. Za łaską Bożą wrócimy zdrowi.

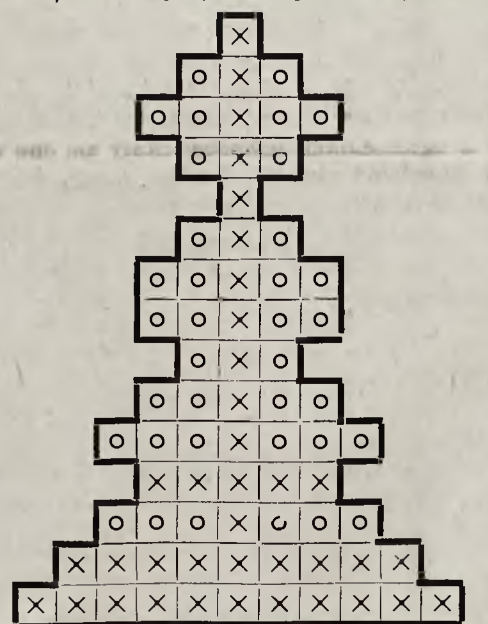
Miała łzy w oczach, ale uśmiechnęła się, uściskała męża i syna. W godzinę potem byli już obaj w drodze do Paryża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kryptogryf.

Litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znanej współczesnej powieściopisarki a wiersze 12, 14 i 15 tytuły trzech powieści tejże autorki.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Miasto w Bawaryi nad Dunajem. 3. Mieszkanie bogów. 4. Oznaka płaczu 5. Samogłoska. 6. Dopływ morza Czarnego. 7. Imię męskie. 8. Ptak. 9. Roślina 10. Pisarz polski w XVII w. 11. Wyspa na morzu Adryatyckiem. 12. ? 13. Kraj w Afryce. 14. ? 15. ?

Zagadka zgłoskowa.

Ułożył S. Spnnda ze Skały.

Ze zgłosek: a, an, ba, chan, ce, da, dżen, dży, e, e, ei, fi, gis, je, kry, iak le, li, ło, łow, mi, mie, ni, ni, nie, niec, no, o, or, po, ra, ra, ra, ru, ros, róg, ropp, si, sta, ste, to, wid, żur — ułożyć 16 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, zaś końcowe czytane z dołu do góry, utworzą imiona i nawiska komedyopisarza i kompozytora polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1 Imię męskie 2. Bez turecki. 3. Bożek miłości u starożytnych Greków. 4. Znakomity bajkopisarz rosyjski 5. Dawna miara w Polsce. 6. Osłona u lampy. 7 Miasto w Galicyi. 8. Imię męskie 9. Rzeka w Niemczech 10. Obecny biskup wileński. 11 Grupa wysp w Australii 12. Oznaka wstydu. 13. Imię żeńskie. 14. Słynny władca Mongołów z XIII wieku. 15. Ptak drapieżny. 16. Sławny ród książęcy we Włoszech.

Litera magiczna.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Z podanych liter ułożyć wyrazy, których pierwsze litery czytane z góry na dół dadzą imię żeńskie, końcowe zaś, czytane z dołu do góry nazwę miasta w południowej Francyi.

a	a				a	a
a	a				a	a
e	e				e	e
e	i	i	i	i	j	l
l	m	m	m	n	n	n
o	o				o	o
p	r				r	s
t	v				z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Wulkan w Europie. 2. Miasto włoskie nad Addą. 3. Imię męskie 4 Inaczej uorany 5. Bogini karząca. 6. Rzeka w Galicyi, dopływ Stryja. 7. Nazwa masztu na okręcie. 8. Imię męskie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

Z podanych liter ułożyć wyrazy, które czytane pionowo, lub poziomo są te same.

a	a	a	a	a	a
a	a	e	e	g	
g	k	k	p		
r	r	m			
y	y				
w					

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Inaczej pójdź precz (po grecku). 3. Napój. 4. Naczelnik turecki. 5. Nuta. 6. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy Taine'a **Podróż po Włoszech** w tłómaczeniu Sygietyńskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 44.

Szarada.

I.

Aster.

II.

Niezadowolony.

Logogryf.

Juliusz Słowacki — Marya Stuart.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Piechota Kraków, Persowski Krosno, C. Pieniążek Zurüch, Kasyno w Belzie, J. Badura Rozdzień, W. Czeppe Tarnobrzeg, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, S. Jarocińsk. Zurüch, R. Jaworski Lwów, F. Niepokój Krosno, E. Konstankiewicz Gorlice, I. Dik Andrychów, A. Góyska Bolechów, L. Wywiórek Sucha. H. Kowalski Mogiła, M Opolska Czarny Dunajec, P. Drzewiecka Lwów, Z. Furko Kraków, R Hodek Krosno, Dr. Warmski Turka, E. Bogdalska Koropnż, I. Cimierski Stanisławów, E. Mayer Milatyn nowy, S. Spunda Skała, M. Spanda Tłuste, B. Ramułtowa Jeżów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. K. Fuchs Czeremchów; prosimy o nadesłanie 35 halerzy na koszta przesyłki.